Nr. 19. 10. Lipca 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

..... dla czego u nas, jeno się co nowego pokaże, jużciż ze starem bić się musi, jakby dla wszystkich dosyć światła bożego, słonka bożego i żywota nie było! Tak u nas, tak u was. Kto nowy przybywa zamiast mu rękę wyciągnąć, to go biją i tłuką, jakby tu o chleb szło nie o świętą prawdę i świętą a każdemu wolną pracę!..

Z listu Kraszewskiego do jednego z redaktorów „Kółka Rodz.“

Od niejakiego czasu słyną dzienniki lwowskie z zaciętej między sobą walki. Ze wszystkich części ziemi polskiej nadchodzą pytania, co się to znaczy, że taka kłótnia między pismami naszemi. I różnie tłumaczą to sobie stojący zdala widzowie, a nie mogąc w tem wszystkiem rzeczywistych dojrzeć powodów, boleją nad naszem rozdwojeniem. Co gorsza, walczące z sobą pisma obrzucają się wzajemnie błotem, podejrzywając się wzajemnie o intencye jak najbrzydsze i wloką się za włosy przed trybunał publiczności, wyliczając przed nią punkta oskarzenia.

Oskarzenia podobne, miotane w gorącej walce mało kiedy były prawdziwe, przyczyniły się jednak do zniżenia w obec ogółu wartości tego, co się drukuje. I tak Dziennik literacki był długi czas w zapasach z Przeglądem powszechnym, aż ten ostatni był zniewolonym wydrukować na czele, że *oszczercze artykuły Dziennika literackiego pojawiają się peryodycznie przy końcu lub na początku kwartału prenumeraty i mają na celu zagarnienie jak największej liczby prenumerantów.*

Taka walka dzienników i wypowiedzenie wyraźne, że przy takiej walce o nic innego nie chodzi, jak o złowienie prenumerantów, musiały oczywiście w obec całego kraju zniżyć wartość świętego słowa, dziennikarstwo nasze stracić z wysokości potęgi narodowej do tłumu wadzących się w imię ojczyzny o kilka groszy spekulantów.

Jakkolwiek zdrowy rozsądek każe wiele odtrącić od tych wzajemnych oskarzeń, co do nich chwilowa dodała namiętność, jednak w obec ogółu jest to sprawa przegrana, i to sprawa obu przeciwników, którzy obłoceni przed nim stają jako przed sędzią swoim. Porozdzierane ich szaty i twarze roznamiętnione budzą już naprzód wzgardę, nim jeszcze sędzia słuchać ich zaczął.

Wśród tak smutnej konstelacyi dziennikarstwa naszego zaczęło wychodzić „kółko rodzinne“. Wzięli w niem udział pisarze, którzy dotąd stali poza obrębem pism tutejszych. Widząc, jak walka dzienników rozdziera siły narodu, jak mu odbiera wiarę w świętość i niezkazitelność słowa, które jedyne z wszystkich potęg pozostało, jak ów słup ognisty nad arką narodową — mając wreszcie przekonanie, że w narodzie niemającym bytu politycznego, zbrodnią jest w obec nieprzyjaciela tworzyć obozy z sobą się scierające, położyliśmy sobie za godło: przeciw swoim nie walczyć, towarzyszom naszym nie wydzierać z rąk broni, gdy w jednych stoimy szeregach, nie waśnić, nie rozdzielać, ale łączyć wszystkich, okazując im wspólną metę. Dla tego z kolumn naszych wymazaliśmy polemikę, bo ta tylko nas rozdwaja, a w chwili obecnej bez słusznego podejrzenia służenia nieprzyjaciołom naszym w naszych szeregach miejsca mieć nie może.

Nowe pismo nasze ujrzało się nagle wśród gradu kul i granatów, miotanych—ręką bratnią. Zabolało nas, że swoich i znajomych zapytano wielkim krzykiem: *Kto wy?* i uderzono jakby na nieprzyjaciół! Nie przypuszczamy, aby to była tylko walka o kilkaset abonentów, których lękano się utracić; przeciwnie, wierzymy, że szlachetna i wygórowana drażliwość o dobro narodowe była powodem tego uderzenia na alarm, na widok zbliżających się nowych kolumn. To też wkrótce uspokoił się Przegląd i wziął broń do nogi, Dziennik jednak literacki, który ciągle z niechęcią na nas patrzał, poszedł w walce przeciwko nowemi pismu dalej. Pan Kornel Ujejski, spiewak skarg Jeremiego, wziął jak się sam wyraża, z rąk autora zapisków literackich młot, aby rozgrzane żelazo kuć dalej.

I przeciw komu zwrócił poeta ten młot swój? Czy wyszedł na kresy, aby uderzyć w czerń nieprzyjaciół, czyhających na waśń między bracią? Gdzie tam! Oto poeta podniósł broń zabójczą, aby we własnym domu zabić brata starszego, aby popełnić bratobójstwo! Zaprawdę zdaje się, że duch Kaima od lat czternastu chodzi ciągle między nami!

Wychodząc jednak z doświadczenia, że podobne usiłowania, pozostawione same sobie, na niczem pełzną i że zdrowy rozum narodu wyrokuje w końcu zawsze na korzyść niesłusznie obwinionych, pozostawiliśmy całą tę sprawę czasowi, który namiętnych rozbraja a pokrzywdzonych wynagradza sowicie. Milczeliśmy równie z zasady unikania wszelkiej polemiki, która przez nadużycie nietylko że dzisiaj wszelki straciła kredyt, ale nawet wstręt budzi. Milczeliśmy także dla tego, że zasadą naszego pisma jest jednoczyć i skupiać, ale nie waśnić i rozdwajać, do czego każda namiętna polemika prowadzi. Widać, że milczenie nasze wprawiało pana Ujejskiego w gniew coraz większy. A gdy nawet

obelżywe słowa i wywoływania nie zdołały nas rozgrzać, abyśmy ku pociesze nieprzyjaciół naszych poszli z sobą w załepki, zapędził się p. Ujejski i do szeregu zasłużonych naszych pisarzy zawołał wielkim głosem: Precz z drogi! do lazaretu! ›Nowi ludzie‹ zastąpią was!

Ponieważ p. Ujejski zdaje się już tutaj schodzić z pola osobistości na pole jakiejś nowej, a raczej odnowić się mającej straszliwej teoryi społecznej, poczytujemy sobie za święty obowiązek, ostrzedz go w jego zapamiętałem uniesieniu, aby trzeźwem okiem spojrzał na pole, na którem stanął, a na którem tylko zejść się można z naszymi nieprzyjaciółmi.

P. Ujejski przyznaje redaktorom Kółka rodzinnego prawe chęci dla kraju, tylko odmawia im odwagi. Niech że to służy za dowód naszej odwagi, jeźli mu powiemy, że artykułami swemi a mianowicie w ostatnich numerach dziennika literackiego, stanął tam, gdzieśmy zwykli widzieć nieprzyjaciół naszych. Niech sobie wierzy, że to nowa droga do naszej przyszłości — my jednak w nią nie wierzymy i mimo wszelkich nawoływań nią nie pójdziemy. Nie ma więc po co wołać p. Ujejski: ›z drogi‹ — bo na tej drodze my nie stoimy. Nie mamy odwagi do hałaśliwych słów, które na chwilę podrażnią i przebrzmią, ale mamy odwagę do pracy, która pochłania całe życie, bo wierzymy, że tylko pracą i poświęceniem całego życia naród stoi.

Występując z taką namiętnością przeciw towarzyszom broni, nie spostrzega pan Ujejski, jaki pozór nieszlachetności spada na niego. O cóż chodzi p. Ujejskiemu? O to, że pisarzy, którzy mają świecić narodowi, grzeszą okrutnie. Wszakże ci pisarzy od lat kilkunastu są czynni, dla czegóż to p. Ujejski przeciw nim w przódy swojej karzącej prawicy nie podniósł, tylko dopiero teraz, gdy nowe pismo wychodzić zaczęło, którego redaktorom przecież p. Ujejski nie odmawia prawych chęci dla kraju? Czemuż przeciw Polowi lub Siemieńskiemu nie wystąpił dawniej, tylko dzisiaj, gdy pierwszy kilka ślicznych ustępów z nowych swoich poematów w „kółku rodzinnem“ umieścił, a drugi o naszem piśmie pochlebną dał w „Czasie“ wiadomość? Zaprawdę, potrzeba dobrze znać śpiewaka skarg Jeremiego i mocno go kochać, aby w tem jego wystąpieniu dzisiejszem widzieć samą tylko zapamiętałość walczącego. Potrzeba również z pobłażaniem patrzeć na cały tok tej walki, która z nami prowadzi, a do której używa własnych słów naszych, wyrywanych z pośrodka artykułów i składanych dowolnie. I tak cytując słowa nasze z 12 Nr. „kółka rodzinnego“ — gdzie mówimy, że w wyrokach naszych nie powinniśmy być pobłażliwi, że powinniśmy walczyć z złem, gdziekolwiek je znajdziemy — opuszcza p. Ujejski dalszy ciąg artykułu naszego, w którym właśnie zwróceni do niego mówimy wyraźnie: „*Wojując jednak bronią tak ostrą, bądźmy przedewszystkiem sumienni w jej używaniu. Dopełnijmy wprzódy wszelkich wymagań sprawiedliwości, nim wydamy wyrok, nim wystąpimy do walki. Tylko najściślejsza sumienność nadaje powagę wyrokom opinii. Niesumienność choćby tylko z zbytniego pochodziła uniesienia, jest straszną przewiną, a złe, które się przez to wyrządza, jest często gorszem od złego, przeciw któremu się walczy. Słowo nierozważne czas zatrze, ludzie o niem zapomną; ale w literaturze zostawia ono plamę niezatartą.*“— Wszystko to opuścił p. Ujejski, cytując ten artykuł, bo to zapewnie psuło mu założenie tego, czego chciał dowieść.

Czego zaś można dowieść, wyrwawszy z dzieła autora pojedyńcze miejsca i zestawiwszy je dowolnie, uczy nas broszura p. Gołembiowskiego wydrukowana za granicą przed laty kilkunastu pod tytułem: „M i c k i e w i c z o d s ł o n i o n y“. Autor opowiada w niej po swojemu treść pojedyńczych poematów wielkiego naszego wieszcza, ustawia pojedyńcze wrotki i wiersze dowolnie, nadaje im pewne, nieznane dotąd znaczenie i dowodzi w końcu ni mniej ni więcej, jak tylko, że autor W a l l e n r o d a i T a d e u s z a jest—płatnym agentem moskiewskim. Kilka tysięcy exemplarzy rozrzucono po kraju i cóż się stało z owym Gołembiowskim? Oto w obec narodu stoi on dzisiaj jako potwarca, — a na głowie wieszcza nie pożółkł ani jeden listek lauru, którym go naród uwieńczył!

Na śliską drogę w walce namiętnej zapuścił się śpiewak „skarg Jeremiego“. Niechaj słów naszych nie bierze za broń odporną. Jestto raczej bratnie podanie ręki, wskazującej na przepaść, nad którą stanął.

Czegóż dalej dowodzi takie targnięcie się na pisarzy, którzy w „kółku rodzinnem“ swoje prace zamieścili. Czy podobne przemawianie wchodzi w obręb krytyki literackiej? Jakiż związek mają z literaturą osobistości piszących, lub ich kalectwa, aby o nich z drwinami w „d z i e n n i k u l i t e r a c k i m“ rozpisywać się? Kogoż serce nie zaboli, jeźli p. Ujejski w dowód, że „kółko rodzinne“ nie wiele jest warte, poczyna wszystkich pisarzy przed publicznością rozbierać i ich błędy wykazywać? Jeden z nich, ma według świadectwa p. Ujejskiego: najwięcej gorącego ducha, ale złamany jest losem, co go obarczył kalectwem. Czyż godzi się autorowi „J a d w i g i i J a g i e ł ł y“ dawać takiemi zimnemi słowy patent na kącik w szpitalu, podczas gdy tenże jeszcze w czynnej chce walczyć armii, poświęcając siły swoje literaturze narodowej, wypracowawszy tak piękny artykuł, jakim jest „Z d o b y c z e p ł u g a p o l s k i e g o“ i pracując teraz nad monografią Jana III?... Drugiemu, którego jasno i trzeźwo widzący duch przez kilka kartek w każdym numerze „kółka“ z czytelnikiem rozmawia, zarzuca p. Ujejski, że mieszka za daleko ode Lwowa! Innym zawadza powaga doktorska, mniema p. Ujejski. Przecież nauka nikomu jeszcze nie zawadziła, a najmniej tym, którzy chcą stać na przedzie! Resztę pisarzy zalicza p. Ujejski do istot, które mają krew rybią, albo inne akcesorya życia, co ich ociążają.

Otoż zlustrowawszy ten zastęp pisarzy woła p. Ujejski: *Wy, starzy i chorzy, ustąpcie z swego*

miejsca... idźcie do lazaretu... z drogi!... Są już ludzie nowi, ludzie dotąd nieznani... którym (słowa p. Ujejskiego) *włożył pan Bóg cichaczem do tornistry laskę marszałkowską!...*

I owszem, z radością powitamy tych *„nowych, dotąd nieznanych ludzi.“* Niech tylko idą drogą pracy i sumienia, a nie rzucimy na nich kamieniem, jak na nas rzucono. Droga, którą idziemy, jest szeroka, możemy się wszyscy pomieścić i szerszym zastępem dążyć do mety. Jeżeli zaś ci „nowi ludzie“ mają iść taką drogą, jaką teraz idzie p. Ujejski, jeżeli cała ich odwaga ma się zużyć na zabijaniu we własnym domu, i strącaniu z drogi tych wszystkich, którzy krwawą pracą i słuszną zasługą tam zaszli, wtedy niepotrzebnie woła p. Ujejski: „Z drogi“, bo my tą drogą nie idziemy, i ci „nowi ludzie“ o nas tam nie zawadzą!

Pan Ujejski odsłonił nam w „listach z pode Lwowa“ dwie strony swojej duszy. Jedna okazuje nam, jak skwapliwym jest do wydania wyroku bez głębszego zastanowienia się — druga wykrywa nam piękną jego cnotę, że gotów jest zawsze przyznać się do błędu. Oto przez kilka tygodni przedrwiwał publicznie w listach swoich z poematu: „Wit Stwosz“, jakoby z jakiej ramoty nieudolnej, a odczytawszy poemat raz jeszcze, wyznaje również publicznie, że zbłądził, że „Wit Stwosz“ znakomitym jest dziełem, a nawet powiada, że podany już do druku artykuł cofnął a natomiast nowy, według ostatniego wrażenia po powtórnem odczytaniu poematu napisał, w którym „Wita Stwosza“ prawie do arcydzieła podnosi.

Wnosić zatem należy, a nawet spodziewamy się tego po szlachetnej i tak szczerej duszy naszego poety, że jak kilka godzin czasu, potrzebnego na powtórne odczytanie ›Wita Stwosza‹, wystarczyło mu do powzięcia innego zdania o tym poemacie, tak nieco dłuższy przeciąg czasu, dokładne rozpatrzenie się w stosunkach krajowych i gruntowne poznanie prac tych ludzi, do których dzisiaj ›z drogi‹ woła, wpłyną w ten sposób na niego, że odczytując wtedy swoje ›Listy z pode Lwowa‹ wykrzyknie głośno z psalmistą: Zgrzeszyłem w zapalczywości mojej!

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego

(Ciąg dalszy).

Tymczasem zacny X. Grzegorz był jednym z tych ludzi, którzy acz bardzo pochopni do podejrzliwości, jednak nie długo ją w swojem sercu chowają. Jakoż do dnia jutrzejszego całkiem już o niej zapomniał; owszem po dokładniejszym rozmyśle przyszedł do przekonania, że Dobiesławowi musi daleko więcej na wykupieniu Grodowisk zależyć, niżeli jemu samemu. Sprawa ta zresztą nie zależała jeszcze teraz od jego usposobień i chęci, lecz przedewszystkiem od załatwienia majątkowego podziału z Krzesławem. Tak myśląc wikary, zaraz ze wschodem słońca sam zbudził Dobiesława i wysłuchawszy z nim razem mszy św, odprawionej na jego intencyę przez samego kanonika w pałacowym kościółku, czemprędzej go do Starodziek wyprawił.

Z wrzącą niecierpliwością oczekiwali obadwa Xięża jego powrotu — a on rad-by był się zamienić w ślimaka i tę podróż fatalną jak najdalej odroczyć. Determinacyi nie brakowało mu nigdy, oh! tyle razy dał jej dowody! — ale na taką determinacyę, ażeby swojego brata obaczyć takim szkaradnym odstępcą, jakim mu go wymalowano, żaden poczciwy człowiek się nie zdobędzie. Położenie jego w tej chwili było okropne. Przez całą drogę najstraszliwsze miotały nim trwogi — i miał nawet takie momenty, w których gdyby się był samego siebie nie wstydził, był-by był kazał nawrócić.... Ale tymczasem powóz jego zatoczył się do Starodziek — a na jego turkot sam Krzesław wybiegł przed kolumnadę pałacu.

Musiał być zapewne uprzedzony o jego powrocie, bo się rzucił z takim rozgłośnym okrzykiem w jego ramiona, jak gdyby uchwycił zbawienie. Serdeczny Dobiesław tem przywitaniem do łez się rozczulił i o wszystkiem w tej chwili zapomniał.... Rozmowa ich potem, usiłująca objąć kilkoma słowy wspomnienia i dzieje dziewięciu lat, była jak zwykle roztargnioną, urywaną, skaczącą z przedmiotu na przedmiot a niezgłębiającą niczego. Z niej poznać Krzesława było niepodobieństwem. Wszakże już śród niej Dobiesław znacznie otrzeźwiał, bo znalazł w swym bracie na samym wstępie kilka myśli i uczuć takich, które mu się wcale nie podobały. A im dalej w las, tem więcej drzew: toż niebawem już patrzał na niego z dziwnie głęboką a całkiem siebie świadomą goryczą. Krzesław wysilał się na to, ażeby się wydał innym, niż był w istocie, ale usiłowania jego były w tym razie daremne. I naturalnie. Taki człowiek jak on oszuka z łatwością każdego niższego umysłem od siebie, oszuka nawet równego sobie; lecz nie oszuka nigdy takiego, w którego sferę moralną nie zdoła dosięgnąć. Nie uda nikt nigdy odwagi, nie uda dobrego wychowania, i rzeczywistej szlachetności umysłu nikt udać nie zdoła, bo człowiek roztropny i doświadczony nie mierzy jej okiem ni uchem, lecz sercem. A najmniej ją mógł udać brat Dobiesława. Było bowiem coś dziwnie nieswojskiego, coś nieludzkiego na samej powierzchni tego człowieka: była jakaś lodowatość serca, jakaś drewnianość umysłu a przy niej tak żartka obrotność realnych myśli, że cała jego istota, chłodna i twarda jak żelazo a mimo to ciągle warcząca trybami i sprężynami rozumu, sprawiała prawie takie same wrażenie, jakie na nas sprawia każda skomplikowana machina, młocarnia, przędzalnia lub młyn parowy, — dzieło bez

duszy a jednak odprawiające swe funkcye tak zmyślnie. Takie organizmy moralne spotykałeś dawniej li w samych żydach: dziś znajdziesz je we wszystkich stanach i we wszystkich tych ludziach, którzy po drabinie zwątpienia z wysokiego szczebla godności człowieka zestąpili na nizinę rozumnych zwierząt i zamienili się w machiny przerabiające swoją pracę na złoto.. Wrażenie to było dla Dobiesława niezmiernie przykrem; chciał się go pozbyć koniecznie: ale pierwszego wrażenia nie zatrą już nigdy słowa, bo mogą to zrobić tylko uczynki. Dlatego odtąd już więcej zwracał uwagi na to, co widział u swego brata, niżeli na to, co słyszał od niego.

Jakoż pomimo całego urządzenia domu, które było całkiem nieodpowiednie jego towarzyskiej pozycyi, trąciło nie oszczędnością lecz skąpstwem, nie ubóstwem ale niedbalstwem, pomięszanem w najdziwaczniejszy sposób z parweniuszowską pretensyą; zaraz przy obiedzie uderzyło go jeszcze i to, że pani Krzesławowa, nietylko mu się nie pokazała dotychczas, ale i do obiadu nie przyszła. Pytał o to jej męża — a mąż mu powiedział: że jego żona jest słaba i dlatego się nie może pokazać. Tak wszakże nie było. Krzesławowa była zdrowa jak ryba, a nawet rumiana i tłusta jak samo zdrowie. Tylko jej mąż należał do rzędu tych ludzi, i u nas już teraz nie rzadkich, którzy kobietę mają wprawdzie za Boże stworzenie, ale za stworzenie takie, które może być tylko rodzicielką dzieci a z resztą zaledwie jakąkolwiek klucznicą. Tacy ludzie, choć się ożenią, prowadzą domy kawalerskie, sami przyjmują swych gości, sami ich bawią, sami ich nudzą: a ich żony ani nie wiedzą o tem, co się dzieje w pokojach bawialnych. Mają one dla siebie odciętą jakąś część domu, w której skazane są na życie jeszcze daleko smutniejsze niżeli klasztorne, bo próżne ducha a poświęcone tylko materyalnym zajęciom. Tak się już dziś bardzo często urządzają małżeństwa. Mężowie mieszkający po miastach trawią dnie całe przy swoich obowiązkowych zajęciach a całe wieczory po klubach, zostawiając swe żony na pastwę samotności i nudów, i co za tem idzie; mężowie na wsi zamieniają swe domy na mezkie kluby, oddając swe żony opiece klucznic i panien służących, a przypuszczając je do swych gości ledwie przy obiedzie. Takie życie, zazwyczaj karciane i fajczane, jest dziwnie prozaicznem i nudnem; a gdyby nawet było i bardzo wesołem, pełnem zajmujących rozpraw i gawęd, jest przecież czczem i niesmacznem, bo w najlepszym razie przynosi tylko owoce, którym brak świeżości, brak woni, brak kwiatu. Jedynym kwiatem, który nasze hipochondryczne żywoty może jakkolwiek rozjaśnić, rozweselić, umaić, są bezzawodnie kobiety: my i ten kwiat ostatni odrzucamy od siebie i zaczynamy go cenić tylko o tyle, o ile ma w sobie przymioty owocu...

Dobiesław, który przeżył lat tyle we Francyi, w tej realnej, praktycznej Francyi a mimo to przecież tak zapalonej wielbicielki kobiet i kwiatów, przeczuł to usposobienie Krzesława, a aby się o niem dowodnie przekonać, naciągnął na ten przedmiot rozmowę. I przekonał się prędko, że się nie mylił, a to go jeszcze tem większą napełniło goryczą. I miał słuszność Dobiesław: bo po człowieku, który nie ma w swem sercu uczucia piękna, którego umysłu nie uczci świeżość i woń, który nareszcie nie umie w sobie rozbudzić głębokiej czci dla kobiety, bardzo mało dobrego się można spodziewać. Tacy ludzie bywają czasem prawi w uczynkach i bardzo pilni w swych pracach: ale są to nie ludzie, tylko machiny, które funkcyonują rzetelnie i pilnie, bo są tak nastrojone. Dziwimy się takim machinom, bo są rozumne, korzystamy nawet z ich prac, jeżeli dla ogółu pracują; ale znudzeni prędko suchem i jednostajnem warczeniem ich trybów, uciekamy od nich, ażeby nigdy do nich nie wrócić.

Po obiedzie, kiedy obadwa bracia przeszli do pokoju Krzesława, Dobiesław był więcej zamyślonym, niżeli rozmownym. Natomiast zaś Krzesław jakoś się więcej rozruszał, mówił o tem i owem a wreszcie rzekł:

— Mamy jakieś interesa, jakieś rachunki ze sobą... nikt nam nie przeszkadza, jesteśmy sami... możeby nieźle było teraz je załatwić? —

Paliła go niecierpliwość, jak zwykle pali tych, którzy mają jakiś ciężar na sumieniu i chcieli-by zrzucić czemprędzej. Tymczasem Dobiesław rzekł:

— Nie masz w tem nic pilnego... jednak im prędzej, tem lepiej! — Ażeby mu zaś dać choć jakąkolwiek wskazówkę postępowania, dodał do tego: — Załatwimy ten cały rachunek za małą chwilę, bo ja już wiem od Grodowiskich Xięży, co się tu stało i co mi się od ciebie należy...

Lecz Krzesław wcale na to nie zważał i zagaił w ten sens:

— Więc co się stało, to wiesz. Grodowiska zostały sprzedane przez licytacyę za pięćdziesiąt tysięcy, trzydzieście tysięcy było długów, pozostaje więc dla nas dwadzieścia, — z czego dziesięć przypada tobie. To bardzo mało... ale odbierzesz jeszcze połowę indemnizacyi, która wyniesie na twoją część dwadzieścia i sześć tysięcy: a tak zrobi się sumka, z którą przy twoich zdolnościach nie trudno sobie wyrobić bardzo przyzwoitą pozycyę.

To rzekłszy, spojrzał na Dobiesława z pod oka, a zarazem dobył kluczyk z kieszeni i chciał już iść do biórka, mówiąc przytem:

— Tę należytość mogę ci zaraz wypłacić.

Na taką indukcyę tej sprawy Dobiesławowi w pierwszej chwili krew ścięła się w żyłach i ciemno mu się zrobiło w oczach. On wprawdzie taką propozycyę już od wczoraj przeczuwał, — ale przeczucie nie jest rzeczywistością — a rzeczywistość ma zawsze swe prawa. Jakoż w tej chwili, chcąc tylko niewczesny zapęd swojego brata do biórka powstrzymać, podniósł rękę do góry i rzekł:

— Zaczekaj.

Krzesław stanął jak wryty, nie wiedząc sam, co to ma znaczyć.

Wszakże nie długo go nudził Dobiesław. Owszem otrzeźwiał w ten moment zupełnie — a widząc już dobrze, iż przy takiem usposobieniu Krzesława nie powinno mu wcale chodzić o losy jego, tylko o swoje i ich rodzinnego majątku, mówił odtąd z powagą i stanowczością taką, jaka człowiekowi skończonemu przystała. Mówił więc dalej w ten sposób:

— Proszę cię, siadaj. Rzeczy te trzeba wyjaśnić. Dlaczego Grodowiska zostały sprzedane przez licytacyę?

— Otóż to jest pytanie! — zawołał z niecierpliwością Krzesław, — przecież wiesz, że musiały być sprzedane dla długów.

— Któż je na licytacyę wystawił?

— Jużci Nowicki.

— Nowicki, — rzekł na to dobitnie Dobiesław,— jest hultaj wierutny, kiedy wystawił na licytacyę dobra takie, które mu dawały dostateczną ewikcyę procentu i kapitału, które były majątkiem administrowanym przez niego i należały do jego pupillów, i które wreszcie zostały sprzedane za połowę wartości. Lecz mniejsza o to! Któż kupił Grodowiska na licytacyi?

— Kupił je Nowicki...

— Jakim-że sposobem Grodowiska pomimo sprzedaży zostały w twem posiadaniu?

— Bom ja je od niego odkupił...

— Tak... to są fakta. Cóż więc z tego wszystkiego wynika? — rzekł stanowczo Dobiesław, — oto wynika to: że cała ta operacya, zrobiona z jakichbądź powodów, które tobie przypisać mogę, mnie wcale nie dotyka.

— A jakto!? — zawołał na to Krzesław, rzucając się z miejsca jak oparzony, — a jakto? to myślisz się ze mną dzielić i tem, com ja sam zarobił?

— Co tyś zarobił? — zapytał Dobiesław, patrząc mu w oczy, — Krzesławie! na miłość Boga, cóż-eś to powiedział!

Krzesław stał przez okamgnienie jakby nieżywy, patrząc w ziemię jak zbrodniarz. I tacy ludzie miewają czasem momenty skruchy, ale niestety! zazwyczaj krótkie. Jakoż i on zbudził się w okamgnieniu i obudziła się w nim jego żyłka żydowska. Zerwał się i uderzył na brata z całą gwałtownością swej zwykłej pochuci, mówiąc silnie i energicznie w ten sens:

— Ale cóż tam! Tu niema co długo o tem rozprawiać. Grodowiska, jako nasza własność wspólna, zostały sprzedane przez licytacyę. To fakt. Z tego faktu wynika, iż ci się odemnie należy dziesięć tysięcy. Jeżeli chesz, to je odbierz; jeżeli nie, to je złożę do depozytu... i możesz sobie potem robić, co ci się będzie podobać.

To rzekłszy, był on już, jak to widzimy, gotów do takiej samej zawziętej walki z swym bratem, jaką zwykle staczał o zyski. Tym razem wszakże nie znalazł godnego przeciwnika. Dobiesław bowiem, lubo go to natarcie mogło i słusznie oburzyć, nie był jednak ani bałwochwalcą pieniędzy, ani człowiekiem takim, który-by z jakichkolwiek powodów mógł zapomnieć o swojej godności: więc mimo całej goryczy i rozdrażnienia ani o jeden cień nie utracił swojej zwyczajnej powagi, a zamiast podnieść rzuconą sobie brudną rękawicę, tak mówił:

— Zapominasz się mój Krzesławie! W gorączkowej pochuci za zyskiem i to jeszcze do tego za zyskiem nieprawym, jesteś gotów nawet do scen skandalicznych: ale ze mną scen takich wyprawiać nie można. Ażeby ci jeszcze raz taka plugawa chętka nie przyszła, słuchaj z uwagą, co powiem. Tobie się zdaje, że ty masz rozum: a tymczasem ty masz tylko spryt jakiś, oprócz krętarstwa do niczego innego nie zdatny. Zarozumiały na ten spryt arendarski, traktujesz mnie tak, jak gdybym był głupim zupełnie: a tymczasem ja, chociaż-em się rozumu nie uczył w Wiedniu, nie potrzebuję go od nikogo pożyczać, o czem cię zaraz przekonam. Wszystkie te tedy wykręty twoje i doświadczenia ze mną na nic się nie zdadzą: owszem przeciwnie, im uporczywiej się ich trzymać będziesz, tem tylko do większego i mnie pobudzisz uporu. Mówmy więc dalej spokojnie — i kończmy to prędko. Więc tedy ty powiadasz, że z tego faktu, iż Grodowiska pomimo ich sprzedaży publicznej w twoich zostały się rękach, nie wynika to wcale, iż się zostały w rękach naszych? A wiesz ty, co ty tu powiedziałeś? Powiedziałeś mi to, żeś się zmówił z Nowickim i sprzedaliście Grodowiska na to, aby mnie wydziedziczyć.

— A! — zawołał na to Krzesław, — piękne przypisujesz mi rzeczy!

I chciał dalej coś mówić, lecz umilkł. Tymczasem Dobiesław mówił dalej:

— Proszę cię, tylko spokojnie... Ja ci nie przypisuję żadnych takich rzeczy, których w tobie nie ma, bo ja, możesz tego być pewnym, daleko prędzej ciebie-bym umył, niżeli jeszcze bardziej obrukał. Więc tedy na cóż się decydujesz? Czyś odkupił Grodowiska dla nas? Czy sprzedałeś je w zmowie z Nowickim dlatego, ażeby mnie wydziedziczyć? Wybieraj z tego, co chcesz, wybieraj to, co lepsze dla ciebie; bo dla mnie oboje jest jednakowem.

Z niemałem zdziwieniem spojrzał Krzesław w tej chwili na brata, bo nie mógł go dobrze zrozumieć. Ale pomimo to odpowiedział prędko:

— Ja nie wybieram tego, co dla mnie lepsze, tylko to, co jest słuszne — i pozostaję przy faktach. Jeżeli zresztą chcesz, to ci do tych dziesięciu tysięcy dołożę jeszcze i procent od tego dnia, w którym Grodowiska zostały sprzedane...

— Jeszcze i procent! — zawołał z gorzkim uśmiechem Dobiesław, — trudno o więcej obrażającą szlachetność! Ale nie. Dziękuję ci za to. Szlachetności żadnej od ciebie nie przyjmę. Kiedy chcesz pozostać przy faktach, to i ja przy nich zostanę. Grodowiska zostały sprzedane przez licytacyę: a kto je kupił, już o to nie pytam. Zróbmy więc rachunek na tej podstawie, ale rachunek rzetelny i ścisły, już nie jak

bracia, tylko jak ludzie sobie zupełnie obcy, bo sam tego wymagasz.

Tu Krzesław wytężył całą swoją uwagę a Dobiesław tak mówił dalej:

— W takim razie proszę cię n a j p i e r w' ażebyś mi się wykazał z moją plenipotencyą, na mocy której skwitowałeś Nowickiego z rachunków dziewięcioletniej administracyi mojej połowy Grodowisk...

Krzesław zbladł trochę.

— P o w t ó r e, — mówił dalej równie stanowczym głosem Dobiesław, — wykażesz mi się z plenipotencyą, na mocy której odebrałeś moją połowę Grodowisk w twoją administracyę i złożysz mi z tej administracyi ściśle i wierzytelne rachunki...

Krzesław zbladł całkiem.

— P o t r z e c i e, — skończył nareszcie Dobiesław, — złożysz mi połowę otrzymanej ceny za Grodowiska przy ich sprzedaży przez licytacyę; p o c z w a r t e procent prawny od tej summy aż do dnia dzisiejszego; p o p i ą t e połowę pozabieranych indemnizacyjnych zaliczek; a p o s z ó s t e, zwrócisz mi połowę pieniędzy wziętych za inwentarze i sprzęty Grodowiskie, wraz z procentem od tej summy do dnia dzisiejszego. Spodziewam się, że jako człowiek rachunkowy masz te wszystkie papiery w porządku: proszę cię, spiesz się, bo nie mam czasu.

Na takie *dictum* Krzesław już cały zzieleniał i tak zwiądł, że sam nie wiedział, co-by miał mówić. Tymczasem Dobiesław naglił:

— Dlaczegóż się zastanawiasz? Przecież przystaję na wszystko, co sam zaproponowałeś. Bądź łaskaw nie tracić czasu, bo go szkoda. Tam Grodowiska niszczą z każdym dniem bardziej wprowadzeni przez ciebie Prusacy. Tam pare tysięcy dusz, zaprzedanych przez ciebie w niewolę, jęczy w najsroższym ucisku! Tu każda godzina jest drogą. Kończmy tę sprawę. Proszę cię o moją plenipotencyę i Nowickiego rachunki...

— Ależ dziwnym jesteś, mój Dobiesławie! — przemówił nareszcie Krzesław głosem do niepoznania zmienionym, — przecież wiesz, że taka plenipotencya nie istnieje...

— Jakto nie istnieje? Chyba żartujesz. Ona istnieć musi, bo przecież inaczej nie mógł-byś był nigdy rozliczyć się w mojem imieniu z Nowickim i objąć mojej połowy Grodowisk w administracyę...

— Czyż mi taką plenipotencyę wydałeś?

— Ja ci jej nie wydałem, to pewna; ale właśnie dlatego chciał-bym ją widzieć i muszę ją widzieć koniecznie.

Tu Krzesławowi jakoś się dziwnie ckliwo zrobiło. Zaczął się chwiejącemi krokami przechadzać po komnacie, kręcił się jak wąż, oddech mu się zapierał w piersiach; jakoż po chwili dopiero rzekł:

— Że będę miał brzydki proces z tobą, o tem już nie wątpię; lecz teraz widzę, iż za moją braterską pomoc w administracyi Grodowisk gotów jesteś pozwać mnie nawet i kryminalnie...

— Sam mnie do tego zniewalasz; — rzekł sucho Dobiesław.

— Ale proszę cię, przecież są inne środki załatwienia tej sprawy...

— A jakie?

— Możemy się zgodzić.

Usłyszawszy te ważne słowa, Dobiesław z całej piersi odetchnął. Patrzał potem na Krzesława przez dłuższą chwilę i milczał. Po chwili dopiero rzekł całkiem innym już głosem:

— Patrzaj-że, mój Krzesławie, jaka jest rzeczywista wartość tego rozumu, którym ty się zaszczycasz! Czyż taki rozum wart jest trzy grosze? czy nie jest on wrzodem ropiącym w twym mózgu, który raczej wyrznąć należy jak raka, niżeli się nim posługiwać? — I do czegoż cię zaprowadził ten rozum? Oto przefrymarczyłeś Niemcom tak piękny kawał naszej rodzinnej ziemi, — zaprzedałeś w niewolę pare tysięcy dusz takich, względem których wiekowe ciążą na nas obowiązki, — oszukiwałeś mnie przez lat tyle w sposób najbrzydszy, — chciałeś mnie wreszcie wydziedziczyć z mojej puścizny, — wydziedziczyłeś w samej istocie zacnych a tak nieszczęśliwych Wapnowskich — a na dobitkę jeszcze ożeniłeś się z córką takiego hultaja, oszusta, donosiciela, szpiega, jakim jest nasz dawny opiekun! — Oh! mój Krzesławie, jeżeli teraz jeszcze w piersi się nie uderzysz, jeżeli wszystkich sił swoich nie zbierzesz i gwałtem siebie na inną drogę nie wepchniesz: wszystko dla ciebie przepadło — a ja, choćby za Bożą pomocą najszczęśliwszy zkąd innąd, wiecznie chorować będę na ciebie! —

Przemowa ta, wypowiedziana ciepło i prosto ze serca, powinna była silne sprawić na Krzesławie wrażenie: jego serce powinno się było wzruszyć choć na chwilę, a w tej chwili powinny się były wszystkie ich spory od razu zakończyć. Ale Krzesław był człowiekiem bez serca. Jakoż zamiast serca jego rozum się wzruszył, ten sam rozum żydowski, który brat jego tak bezwzględnie potępił. Albowiem widząc, że Dobiesław się uniósł uczuciem, ożywił się w okamgnieniu, przysiadł się do niego i z oczywistym zamiarem korzystania z tej chwili szczęśliwej, tak zaczął:

— Dziękuję ci z całego serca za tak otwarte wypowiedzenie swojego zdania. Dałeś mi tem dowód prawdziwej dla mnie miłości. Pozwól mi jednak zrobić uwagę, iż nie wszystkie wyobrażenia twoje o mnie są zgodne z prawdą. Pozwól mi się usprawiedliwić....

Ale Dobiesław zanadto dobrze znał ludzi, ażeby się na tej udanej skromności nie poznać. Jakoż dotknął się jego ręki i rzekł:

— *Avant tout les affaires!* Więc tedy ty proponujesz mi zgodę. Ale ja zgody nie chcę: to jest nie chcę, ażeby było pomiędzy nami o co się godzić. Jeżeli ta sprawa ma się załatwić czysto, to powinna już z góry być zgodzoną. Moje więc zdanie jest takie. Oparłszy się na tem, że Grodowiska zostały sprzedane przez licytacyę, mógłbym wyjść z tego podziału korzystniej; ale ja tego podziału nie chcę, bo przyjęty

przezemnie musi się stać zarazem przyznanym tobie występkiem. Zmażmy ten występek i przyjmijmy za podstawę sprzedarz Grodowisk Prusakom. Czy zgadzasz się na to?

— Dobrze... ja tę podstawę przyjmuję... ale w takim razie już ani o Nowickiego ani o mojej administracyi mowy nie będzie.

— Nie będzie, — odpowiedział mu z uśmiechem Dobiesław, — o niczem już mowy nie będzie, ale zawsze jakoś się trza nam rozliczyć.

I wtedy zaczęły się rachunki.

Ale chociaż Dobiesław wszelkie swe siły wytężył na to, ażeby uniknąć jakichbądź sporów i targów, nie mógł ich jednak uniknąć, bo miał do czynienia z Krzesławem. Zacny brat jego, nieznający wcale dróg uczciwych, niemający nawet jasnego wyobrażenia o tem, co się godzi a co się nie godzi, używał najrozmaitszych sposobów, najplugawszych wykrętów, ażeby tylko summę mającą mu przypaść ile możności umniejszyć. Podawał mu więc fałszywe dane, zaliczał wydatki, których nigdy nie wydał, zaliczał szkody, których nigdy nie poniósł, zgoła na co żaden żyd-by się nie zdobył, na to on się zdobywał, z jenialnością pomysłów i bezczelnością wymowy godną podziwu. Dobiesław, który we Francyi pracował w zawodach praktycznych, widział to wszystko jakby na dłoni i bolał nad tem głęboko; ale gdzie tylko mógł tam całe poły ucinał, dawał się łupić z swej własnej woli: ażeby tylko do gorszących kłótni nie dopuścić, zachować swą własną godność i dać przykład swojemu bratu, o ile moralna wartość człowieka powinna zawsze być droższą nad materialne korzyści. Poczciwy Dobiesław koniecznie chciał wierzyć, że jego brat jeszcze się może poprawić i wstąpić na inne drogi żywota...

Przecież za kilka dni skończyli z sobą ten zawikłany rachunek — i stanęło na tem: że Krzesław miał swemu bratu wypłacić trzydzieści i dwa tysiące guldenów, nie licząc w to przypadającej na niego połowy indemnizacyi. Dobiesław został odartym szkaradnie; uronił przynajmniej część trzecią, jeżeli nie połowę swojej słusznej należytości; wiedział o tem, ale nic już nie mówił, owszem nawet, był kontent, że się to raz już skończyło.

Przeciwnie Krzesław był zły, skwaszony i całkiem zgorżkniały. Rzucił się ze złością na krzesło i patrzał prawie szatańskim wzrokiem na brata. Bo tak to niestety zazwyczaj bywa. *Oderunt quem laeserint*, powiedział jeszcze Tacyt: a dziś się ta prawda praktykuje jeszcze tem częściej, osobliwie tam, gdzie ktoś kogoś oszuka, lecz nie o tyle, o ile sobie zamierzył.

Rzuciwszy się w krzesło młody dziedzic Starodzięk milczał. Widząc jego usposobienie Dobiesław i chcąc czemprędzej tę nudną sprawę zakończyć, rzekł do niego:

— Kiedyż mi możesz te pieniądze wypłacić?

— Kiedyż ich potrzebujesz? — zapytał mrukliwie Krzesław?

— Jak tylko można najprędzej.

— Ja kapitalistą nie jestem, ale kiedy ci tak pilno, to będę się starał wypłacić ci się niezadługo.

— Bądź łaskaw oznaczyć termin.

— Termin? — powtórzył złośliwie Krzesław i rzekł z nietajoną już złością, — to jutro!

— Ale czy potrafisz zebrać tyle pieniędzy na jutro? — zapytał grzecznie Dobiesław.

— Dziękuję ci za twoją troskliwość, ale to moja rzecz.

Szorstkie te słowa znów uraziły Dobiesława, zaczem rzekł sucho:

— To proszę cię, siadaj do biórka i pisz.

— Cóż chcesz, ażebym pisał?

— Naszą umowę i twoje zobowiązanie się.

— Może ci wystawić wexel na jutro? — zapytał z ironią Krzesław.

— Proszę cię siadaj i pisz, — powtórzył dobitniej Dobiesław.

Milcząc już, ale dziwnie kipiący od złości, siadł Krzesław do bióra, a jego brat podyktował mu dokument zawartej umowy, zrzekając się przytem wszelkich dalszych do niego pretensyi, ale nie szczędząc mu jak najsurowszych rygorów. Nic już na to nie mówił Krzesław, tylko napisał, podpisał a oddając mu ten papier do ręki, dodał do tego:

— Masz już wszystko, czego sam chciałeś. A teraz może udamy się na spoczynek; jesteś zapewne dosyć zmęczonym...

To rzekłszy, wziął świecę do ręki i zaprowadził swojego brata do gościnnego pokoju

Przekonawszy się, że wszystko jest w porządku, czego gościowi potrzeba, podał mu rękę z daleka i rzekł zimno: Dobranoc!

Takie obejście się niezmiernie przykro dotknęło Dobiesława. Widział przed sobą człowieka całkiem spaczonego rozumu, widział w nim zawsze swojego brata serce się w nim odezwało, chciał jeszcze nową zawiązać rozmowę: dlatego obejrzał się na stoliczek koło łóżka stojący i spytał:

— A nie dasz mi jakiej gazety?

— Zaraz ci będę służył, — rzekł Krzesław i wyszedł.

Za chwilę wrócił i przyniósł mu *Fremdenblatt* wiedeński. Dobiesław wziął ten świstek do ręki, patrzał na niego, patrzał na brata, i prawie z trwogą zapytał:

— Czy nie masz żadnego polskiego pisma w twym domu?

— Nie mam, — rzekł sucho Krzesław.

— To może masz choć jakieś pismo agronomiczne?

— Nic nie mam, bo nie stać mnie na to. Dobranoc ci.

Dobiesław sam został w pokoju.

Długo jeszcze potem siedział na niskiej sofie, na której mu pościelono, ściskając gorącą głowę obydwiema rękami. Co czuł i myślał, nie trudno zgadnąć. W takim stanie zastać swoje pamiątki rodzinne, w takim stanie rodzinną ziemię i w takim stanie swojego

brata: to jest cały świat jak najsroższych boleści. Dobiesław męczył się niemi przez całą noc — a dopiero świt dzienny zamknął jego znużone powieki...

(*D. c. n.*)

Z tragedyi

„IWONIA"

przez J. Zacharjasiewicza.

Scena czwarta.

Hieremi potem Marta.

Hieremi *w niepokoju:*
Jakoś za prędko dziś wszystko się składa:
Urwałem myśli — a chwila stanowcza
Tuż jest przedemną — jeden krok, pół kroku—
(*zapędza się ku drzwiom, w które wszedł Czaus*)
Tam Czaus mnie czeka (*zatrzymuje się*) Nieznośny Iwonia
Z swem czułem sercem.... Selima Czaus marzy
Jakim zaszczytem, jakiemi łaskami
Rozerwać serca tak wiernych przyjaciół...
Tem większa cena im większa ofiara!...
Więc w imię boże — targ będzie nie długi—
Hieremi... hospodar... (*idzie ku drzwiom,*)
(*okrzyk ludu: Hospodar! Hieremi! — zatrzymuje się*)
To moje imie w ustach tego ludu?...
Jak pięknie, mile!... *Hieremi... hospodar...*
(*idzie ku drzwiom — wpada Marta zadyszana*)

Marta: Hieremi, Hieremi!

Hieremi *gniewnie:* Co wołasz kobieto,
Czy straży nie ma — tutaj wejść nie wolno—

Marta *klęka:* Daruj mój synu, moje serce dzisiaj
Pęka z radości — o dla serca matki
Nie ma ni straży — ni kraty żelaznej...
Słyszysz ten okrzyk?
(*Okrzyk ludu: Niech żyje Hospodar! — Hieremi niech żyje!....*)

Hieremi: Że motłoch szaleje
Cóż ztąd?...

Marta: Mój synu, to lud z głębi duszy
Mówi te słowa... (*chwyta za piersi*) jak mi serce bije!
Rzekłam: Tam pójdę, do nóg mu upadnę,
Spojrzę na jego okazałe szaty
I powiem sobie: To syn mój Hieremi!...

Hieremi: Twa czułość matko zabiera czas drogi.
Wynijdź —

Marta: Choć chwilkę bądź mi jeszcze synem.
O wkrótce naród odbierze mi ciebie,
Wołosza będzie twoją matką!... (*ociera łzę*)
(*Okrzyk ludu: Niech żyje Hospodar! — niech żyje Hieremi!...*)
Głos ten
Odrywa ciebie od piersi matczynej!
(*Hieremi zamyślony*)
Hieremi! matka przed tobą!...

Hieremi: Kobieto
Wynijdź!

Marta: Kobieto, tylko!... ale wina moja!

Hieremi: Co mówisz, wina?

Marta: Gdy lud się zgromadził
I łzy radośne wylewał nad wieścią
Że nasz hospodar w krzyż święty uwierzył,
I będzie sierot chrześciańskich ojcem —
Jam się wmieszała między lud i rzekłam:
Mój syn Hieremi do tego go skłonił,
On waszym ojcem, waszym opiekunem!

Hieremi: Kobieto!

Marta: Nagle jak wody Dunaju
Runęła wieść ta między tłumy ludu,
Dziś jesteś synu patronem narodu!...

Hieremi: Nieszczęsna matko!

Marta: A gdy Czaus sułtański
Wysłał przed chwilą Tatara z pismami,
Lud go pochwycił — rozebrał do nitki
I znalazł pismo dla Selima!..

Hieremi: Pismo?

Marta: W tem pismie stało: że Iwonia zdrajca,
Że ty do zdrady namawiasz go ciągle —
Że ci nic ufać nie można — choć w masce
Skradasz się do nóg Selima... U ludu
Masz wielką wziętość — większą niż Iwonia,
Że takich ludzi Selim bać się musi...

Hieremi *gniewnie:* Dosyć nieszczęsna! Tyżeś to sprawiła!...
Precz ztąd kobieto!

Marta *klęka:* Synu mój! Hieremi!

Hieremi: Gdzie straż! hej ludzie! (*straż wchodzi*) Tutaj wnijść nie wolno!
Precz!...

Marta *zasłaniając oczy:*
On już nie mój!...
Naród go zyskał — jam go utraciła!
(*odchodzi z strażą.*)

Hieremi (sam)
(*chodzi szybkim krokiem po sali*)
Więc własna matka stanęła mi w drodze
Do moich marzeń!... O nieszczęsna Matko!
(*łamie ręce*)
Nie... wszak czas jeszcze... kilka słów Turkowi,
Rzecz będzie jasna... nie, on mi nie uwierzy,
Kłamałem wielką dla Iwonii przyjaźń
By więcej dostać — teraz już za późno,
Tam motłoch ryczy: *Hieremi, Hieremi!...*
»A takich ludzi Sułtan się obawia!« (*wściekle*)
Więc drzyj Selimie! wszechwładzco Bosforu,
W odmętach morskich legło twoje wojsko,
Tyś dziś za słaby, by naród powstrzymać
Co targa łańcuch haniebnej niewoli...
A bój się ludzi, którzy naród taki
Wiodą do walki... Bo oni są straszni!...
A gdy potęga twoja o ziem runie,
Kiedy Hieremi do twojego gardła
Miecz swój przyłoży — to targ będzie krótki,

Hieremi wiele, wiele bardzo warty!...
Więcej niż dzisiaj!...
(*Wśród okrzyku ludu wchodzi Senat i dygnitarze.*)

Scena piąta.

Senat — Hieremi — potem Iwonia i Czaus.

Hieremi: Witajcie zacni mężowie narodu,
Iwonia, pan mój szle wam pozdrowienie,
Zasiądźcie miejsca zaszczytne —

Pierwszy Senator:
Hieremi,
Ty który sercem władasz hospodara
Przyjmij cześć naszą...
(*Okrzyk ludu: Niech żyje Hospodar! — niech żyje Hieremi!*)
Oto w ustach ludu
Łączą się wasze imiona!

Drugi: Hieremi,
W tobie ojczyzna ma wiernego syna,
Tyś to uczynił, że biedna Wołosza,
Która z przestrachem witała Iwonię,
Dzisiaj w nim wita opiekuna chrześcian!

Hieremi *miesza się*: Serce me dłużej radości nie zniesie,
Za wiele szczęścia dla sługi Iwonii —
Hospodar wchodzi.
(*Senat powstaje z ław — okrzyk ludu Wchodzi Iwonia w urostym stroju Hospodara.*)

Senatorowie:
Cześć Ci i chwała wielki Hospodarze!
(*Iwonia siada na podwyższonem krześle — przyjmuje hołd uroczystem milczeniem.*)

Iwonia: Zacni mężowie, w uroczystej chwili
Was tu zwołałem — dziś chrzest Hospodara —
Na ten chrzest Selim szle nam posła swego —
Więc niechaj wnijdzie!
(*Hieremi udaje się do drzwi*)
Hospodar Iwonia
Nic przed narodem od dzisiaj nie tai!
(*wchodzi poseł sułtański i staje przed Iwonią*)

Poseł: Cześć Ci Iwonio, ty gwiazdo Selima,
Tak rzekł Padyszach: Na północ w mych krajach
Włada Hospodar Iwonia — mój wierny,
Oby żył długo najszczęśliwsze lata!

Iwonia: Iwonia szczęśliw, że Selim mu sprzyja,
Dlatego pragnie, aby poseł jego
Słyszał zarówno z narodem Wołoszy
Co dziś Hospodar do narodu mówi.
(*Poseł w milczeniu usuwa się w głąb. Iwonia powstaje uroczyście.*)
Oto wyznaję w obec was mężowie,
Wobec narodu, którym dzisiaj władam
I w obec świata całego wyznaję
Żem chrześcianin!
(*Nad nim odsłania się nagle krzyż — Senat powstaje, z zapałem*)

Wszyscy: Iwonio! tyś ojcem narodu!
Kilku: Tyś opiekunem sierot chrześciańskich!
Wszyscy: Niech żyje Iwonia, ten krzyż jego godło —
Kilku: Niech żyje Hieremi, Iwonii doradzca!
(*Hieremi miesza się — Poseł patrzy na niego*)

Iwonia: To com powiedział ogłosić ludowi!

Dwaj Senatorowie *odchodząc*:
Cała Wołosza radować się będzie. (*wychodzą.*)
(*Okrzyki ludu.*)

Iwonia: Hieremi, okaż posłowi Wołoszę,
By Selimowi oznajmił co widział!
(*Okrzyki ludu.*)

Hieremi (*prowadząc Czausa do okna*):
Tłum nieprzejrzany zaległ całe miasto —
Logofet mówi.... od płaczu zamilknął,
Lud go pochwycił i niesie na barkach!
Z kościołów niosą chorągwie.... Staruszek
Siwy jak gołąb coś mówi — lud klęka,
Ręce do nieba podnosi....
(*pauza uroczysta — Słychać śpiew choralny co raz bliżej:*)

„Boże, o spojrzyj na lud twój w niewoli
Uchowaj Iwona śród ciężkich lat —
On nas z ohydnych łańcuchów wyzwoli,
Bo on nasz ojciec — bo on nasz brat!
Niech nas prowadzi bożemi drogami,
My pójdziem za nim śród łez i strat —
I będziem przy nim — on będzie z nami,
Bo on nasz ojciec — bo on nasz brat!...“

Hieremi: Idą do kościoła! (*cisza.*)

Poseł: Iwonio, władzco Wołoski posłuchaj —
Jakie rozkazy twój pan ci posyła
Padyszach Selim — wielkie Jego imię!...

Iwonia: Słucham, co Selim mówi do narodu —

Poseł: Tyś pan i władzca z łaski Padyszacha,
Do swego sługi tak Selim przemawia:
Do mego ucha doszła wieść z Wołoszy,
Że wiary swojej odstąpił Iwonia —
Niechaj sam Ałłah sądzi jego duszę —
A nam niech za to wybierze z Wołoszy
Haracz w dwójnasób —

Iwonia: Co, haracz w dwójnasób?

Poseł: Tak rozkazuje Selim słudze swemu —

Iwonia: Za to żem przyjął krzyż święty za godło
Ma cały naród jęczyć?....

Poseł: O Iwonio,
Jeźli rozkazu nie usłuchasz pana —
Komu innemu oddasz hospodarstwo,
Sam do Stambułu pospieszysz wraz ze mną
Złożysz rachunek z tego coś uczynił —

Iwonia *do Senatu uroczyście*:
Do was mężowie teraz głos podnoszę,
Wyście na straży narodu — Słuchajcie
Nasza ojczyzna biedna, a Padyszach
Podwójny haracz żąda od Wołoszy —
Tysiące ludzi od głodu poginie —
Tego rozkazu nie spełni Iwonia!

Poseł: Więc złożysz władzę — u nóg Padyszacha!

Iwonia: O życie nie dbam, jeźli tem ojczyznę
Od klęski zbawię —

Poseł: Petryłło zza Karpat
Któremu Selim dał wojsk sto tysięcy,
Przybędzie tutaj — da haracz podwójny —

Iwonia (*do Senatu:*) Do was mężowie już wyrok należy,
Jam rzekł, że tego rozkazu nie spełnię
Bo kocham kraj mój! —

Senat: Iwonio, my z tobą!
Poseł *uroczyście*: Mówił Padyszach: Jeżeli Iwonia
Jeżeli Senat rozkazu nie przyjmie —
Więc oto rzucam na nich tę garść piasku!
(schyla się na ziemię i rzuca garść piasku — pauza)
Iwonia *powstaje*:
Mężowie, wojnę Selim nam ogłasza!
Senat *w zapale*:
Senat i naród za tobą Iwonio!
Poseł *trzymając garść do góry*:
Mówił Padyszach — słowa jego straszne,
Jak gromy burzy, gdy wre nad Bosforem:
Ile ziarn piasku w tej garści się mieści,
Tyle buńczuków poszlę do Wołoszy,
Tyle miast spłonie tej pięknej krainy,
Tyle tysięcy dusz z ciała uleci,
Tyle rzek krwawych spłynie w morze Czarne
I tyle wieków spamięta Wołosza
Gniew Padyszacha Selima — *(odchodzi.)*
Senatorowie *dobywają szabel*:
Iwonio!
Przy tobie walczyć będziemy — na Turka
Ty nas poprowadź!
Iwonia: Iwonia dotąd nie zaznał zawodu,
Nie zazna — stając na czele narodu,
Który zabrzęczał łańcuchem niewoli,
Niech tylko wierzy — a Bóg go wyzwoli!
Senat: Tyś naszym wodzem Iwonio!
Iwonia: Ludowi
Okażmy się w zbroi — za naszym przykładem
Niech idzie naród do walki o wolność!
Senat: Idźmy do ludu — do ludu — do ludu —
(wszyscy wychodzą.)

Wniosek Wincentego Pola,

przesłany do Towarzystwa muzycznego na posiedzenie odbyć się mające dnia 16. czerwca 1860.

Towarzystwo wykształceniu muzyki poświęcone, raczyło mnie mianować honorowym członkiem swoim. Uczuciem najżywszej wdzięczności za ten zaszczyt dziękując i widząc się odtąd powołanym do podziału prac towarzystwa, upraszam aby mi wolno było zrobić wniosek, który dąży ku rozszerzeniu działalności Towarzystwa. W myśl §. 2. i 15. rozd. I. statutów Towarzystwa, a paragrafy te brzmią:

„§. 2. Szczególnem zadaniem Towarzystwa jest, popierać muzykę kościelną. Na ten cel odbywać się będą rocznie wymienione w §. 15. produkcye muzyki kościelnej a Towarzystwo według sił starać się będzie o naukę co do gry na organach i śpiewu kościelnegô. Nadzwyczajne, szczególnie na ten cel ofiarowane wkładki, równie jak w ogóle część dochodu Towarzystwa ku temu poświęcona, w rocznych rachunkach wykazane i ogłoszone będą.“

„§. 15. Towarzystwo daje rocznie sześć koncertów dla członków, i w cztery święta kościelne urządza Towarzystwo w kościołach obrz. łać. większe msze, w kościołach zaś obrz. grec. śpiewy choralne; również odprawione będzie rocznie jedno wielkie Requiem za zmarłych członków Towarzystwa. Oprócz tego staraniem będzie Towarzystwa urządzać większe koncerta i oratorya na korzyść własnej kasy lub na cele dobroczynne.“

W myśl tedy obudwu tych paragrafów wnoszę, aby się Towarzystwo zajęło zorganizowaniem osobnej sekcyi w gronie członków swoich, któraby jedynie była oddaną udoskonaleniu i rozszerzeniu muzyki religijnej, rytualnej dla obudwu obrządków, to jest tak dla greckiego obrządku pod względem śpiewów choralnych, jakoteż kościelnych śpiewów z akompaniamentem organów dla obrządku łacińskiego.

Wpływ Towarzystwa muzycznego rozszerzał się jak dotąd głównie tylko na Lwów, ztąd też przy największem wytężeniu sił i prawdziwych zasług na polu artystycznem, nie zupełnie zdołało Towarzystwo dojść do celu wytkniętego statutami i odpowiedzieć powołaniu i założeniu swewu, albo przynajmniej to wyznać trzeba, iż jeżeli się wpływ jego rozszerzał na samą stolicę, nie korzystał z jego usiłowań kraj cały, który się zaledwo z sprawozdań dziennikarskich dowiadywał o jego artystycznych produkcyach. Towarzystwo po największej części tylko z miłośników muzyki złożone, zajmuje małą i wyłączną sferę, stojąc z jednej strony pomiędzy utworami muzyki kościelnej — z drugiej pomiędzy koncertem. Nieoddanym wyłącznie zgłębieniu muzyki kościelnej, trudno jest jej ducha przedstawić, a z drugiej strony trudno jest znowu mieć na każde zawołanie wyższe talenta opery i wirtuozyą koncertu; ztąd nie zawsze może dopisać skutek założeniu, a trudno obwiniać osoby tam, gdzie zamknięcie się w małem kole jest właściwym powodem, dla którego Towarzystwo nie może odpowiedzieć w całem znaczeniu powołaniu swemu i pierwotnemu założeniu wytkniętemu przez statuta.

Jestem tedy tego przekonania, aby Towarzystwo przybyło w pomoc krajowi pod względem kościelnej muzyki i muzyki choralnej, i rozszerzyło wpływ swój artystyczny na prowincyę. Dla każdego bowiem kollatora i proboszcza siedzącego na wsi są bardzo obojętną rzeczą koncerta i oratorya, które Towarzystwo wyprawia w stolicy, i o których (jak mówiłem) zaledwo się z dzienników dowiaduje publiczność większa: ale nie jest obojętną rzeczą dla nikogo, kto ma dbałość o rzeczy duchowne, że nie mamy ani organistów muzycznie ukształconych, wtórujących obrzędom religijnym i śpiewom pobożnym całego ludu, i nie jest obojętną rzeczą, że choralne śpiewy cerkiewne są w ciągłym upadku.

Mając zaszczyt przemawiać tu do tak światłego grona, sądzę, iż nie mam potrzeby rozszerzać się o humanitarnym wpływie, jaki muzyka kościelna i cerkiewna wywiera na umysł pojedyńczego człowieka i całe rzesze wiernego ludu.

Jestto pewnik dziejami kościoła i narodów stwierdzony, że nic tak nie łagodzi umysłów ludzkich i tyle się nie przykłada do uobyczajenia całych narodów, co muzyka kościelna. *Qui cantat bis praecat*, ta wiara jest w kościele tak żywą, iż po wszystkie wieki po instrukcyi religijnej uważano upowszechnienie kantu kościelnego za główną część obrzędów religijnych, do których wieki dodały całe kancyo-

nały pieśni pobożnych, dopełniających niejako chorały, kancyonały i psałterze rytualne. Rozszerzać się tedy nad wpływem i potrzebą udoskonalenia i upowszechnienia muzyki kościelnej zda mi się, iż nie ma potrzeby, ale jest tego wielka potrzeba, aby sobie raz powiedzieć, iż drugie już prawie stulecie upływa, odkąd muzyka kościelna i cerkiewna u nas jest w ciągłym upadku.

Dawniej istniały nietylko przy kapitułach, ale nawet przy pojedyńczych klasztorach u nas Towarzystwa muzyczne, czuwające nad czystością i tradycyą rytualnego kantu, zatwierdzone bulami papieży, utrzymywane w czujności i pracy przez biskupów; dawniej były szkoły organistów w każdej dyecezyi i śpiewaków choralnych, a po miejscach łaskami słynących, po farach miejskich i w rezydencyach wielkich panów były wszędzie kapele kościelne, a cały lud śpiewał pieśni w części rytualne, a nawet we właściwym języku rytuału, (jak to np. bractwa) albo śpiewał pobożne pieśni w języku własnym, których tak wielka jest ilość w narodzie naszym, iż po upływie wieków zaledwo je ogarnąć można. Dawniej zajmowały się kapituły i zakony upowszechnieniem kancyonałów, chorałów i psałterzy naprzód w rękopismach, później już w drukach, i aż po te czasy grają jeszcze z tych nót organiści i śpiewają djacy; dziś wszakże zużyły się, zgorzały i zdarły się te stare kodeksa, i rzeczywiście nie ma się co dziwić upadkowi kościelnej muzyki przy braku nót kościelnych i cerkiewnych.

Muzyka upada ciągle dla braku organistów i śpiewaków choralnych, a tradycya kościelnej i cerkiewnej muzyki zamyka się w coraz szczuplejszem kole dla braku chorałów, kancyonałów i psałterzy, których przyspożeniem i upowszechnieniem nikt się u nas nie zajmuje.

Jeżeli Towarzystwo muzyczne chce przybyć temu brakowi w pomoc, i potrzebie wiernych gmin i parochów gorliwych, pewien jestem, że obudzi dla siebie najżywsze zajęcie we wszystkich dyecezyach naszej prowincyi, i że usiłowania jego zostaną podparte na skalę powagi kościoła i narodowych rozmiarów.

Za ubodzy jesteśmy na to, aby kilka instytucyj tworzyć i podtrzymywać do osiągnienia pewnego celu; — siłami wszakże zbiorowemi możemy dokonać rzeczy ważnych, i rozszerzeniem działalności Towarzystwa na polu muzyki kościelnej przybyć potrzebie całego kraju w pomoc, który w takim razie nie odmówi Towarzystwu potrzebnych środków do osiągnienia zamierzonego celu.

Już tedy tutaj przystępuję do oznaczania bliższego tego wniosku, kładąc za główny cel sekcyi religijnej muzyki w Towarzystwie:

1. Publikacye nót kościelnych i cerkiewnych.

2. Urządzenie szkoły dla organistów i śpiewaków choralnych;

a jeżeli ten wniosek mój zostanie przyjętym, wówczas upraszam o mianowanie komisyi z grona Towarzystwa, którąby się zajęła wypracowaniem w tym celu programatu dla przyszłej sekcyi religijnej muzyki w Towarzystwie w jak najkrótszym czasie.

Zbliża się bowiem chwila, gdzie Arcypasterze obu obrządków Archidyecezyi lwowskiej mają zjechać na objęcie do swych stolic, a że w sprawach religijnych zarząd właściwy rzeczą jest Biskupów, ztądby wypadało przedłożyć podobny programat sekcyi religijnej múzyki, od Towarzystwa wypracowany pod rozpoznanie i zatwierdzenie władz dyecezyalnych tak tu, jak w dyecezyach: przemyskiej, tarnowskiej i krakowskiej, następnie zda mi się, iż od tego wypadałoby sekcyi kościelnej muzyki w Towarzystwie rozpocząć czynności swoje, bo tylko wówczas może się Towarzystwo spodziewać w usiłowaniach swoich poparcia od władz duchownych, jeżeli najprzewielebniejszym księżom Biskupom da potrzebną rękojmię, to jest, to przekonanie, że tylko pod względem artystycznym chce kierować wydawnictwem nót kościelnych i cerkiewnych, tudzież szkołą organistów i śpiewaków choralnych — zostawiając zarządowi duchownemu bezpośredni wpływ na wskazanie autentycznych źródeł i kodeksów, z których mają publikacye czerpać i podług których szkoła organistów i choralnych śpiewaków ma być prowadzoną. *Imprimatur et exsequatur* dyecezyalne będzie, tu *conditio sine qua non.*

Od porozumienia się w tej rzeczy z władcami dyecezyalnymi wypada rozpocząć tę sprawę, a następnie dopiero ogłosić odezwy do publiczności większej w dziennikach od wydziału kierującego sprawami Towarzystwa.

Na tem właściwie mógłbym zakończyć mój wniosek, wszakże, gdy ta sprawa jest tyle ważną, pragnę przytoczeniem niektórych faktów i uwag wyjaśnić jej znaczenie i stanowisko, i podać niektóre daty do przyszłej dyskusyi.

Wszystkie konserwatorya i stowarzyszenia muzyczne w całej prawie Europie zwróciły w najnowszych czasach uwagę na muzykę kościelną, oceniając wielkie arcydzieła kompozytorów kościelnych, i okazały potrzebę czuwania nad czystością tradycyi kościelnego kantu, który się od czasów Ambrozyańskiego i Gregoryańskiego chorału przechował w nietaktowanych kodeksach, pisanych naprzód na czterech, a następnie na pięciu liniach.

Konserwatoryum muzyczne paryzkie, któremu nie można zapewne zarzucić braku właściwego postępu w muzyce, zwróciło w nowszych czasach całą uwagę swoją na starożytną muzykę kościelną, i publikuje od czasu do czasu najstarsze pieśni kościelne, w istocie pierwotnego ducha i tradycyi kościoła pojęte, a nawet całe oratorya starożytnych kapituł, odnoszące się w czasy wieków średnich, w czasy pogregoryańskiego chorału. Toż samo czynią i inne konserwatorya i pojedyńcze kapituły, i nie brak dziś już w repertoryach literatury muzycznej publikacyj wielu kodeksów, które dopełniają rozległej sfery kościelnego kantu w duchu pierwotnych lub miejscowych tradycyj kościoła. Nie brak także publikacyi dzieł wielkich kompozytorów, tak zwanego kościelnego kontrapunktu.

U nas samych mamy w nowszych czasach wydane trzy kodeksy Gregoryańskiego chorału dla kościoła, jakoto: 1. przez ks. Jarmusiewicza, 2. przez Macieja Dębińskiego w Poznaniu, 3. przez Gorączkiewicza, dyrektora muzyki katedralnej w Krakowie, a dla cerkwi *»Irmologion,«**) kodeks

*) Spiew cerkiewny ruski przyszedł razem z obrzędem na Ruś z Grecyi. Przez przeciąg czasu musiał on podpaść różnym zmianom; dlatego zakon OO. Bazylianów za potrzebne uznał, spiew cerkiewny na Rusi ze spiewem greckim (w nóty ujętym) porównać i

*

spiewów choralnych, już w tym wieku przejrzanych i wydanych dla cerkwi przez zakon kss. Bazylianów.

Do pieśni pobożnych, które lud spiewa w czasie świąt i uroczystości dorocznych, idących z odwiecznych tradycyi kościoła, uświęconych obyczajem, zatwierdzonych powagą Biskupów; do pieśni pobożnych nierytualnych lecz ludowych, można za autentyczny kodeks uważać „Spiewnik kościelny“ ks. Mioduszewskiego Zgromadzenia kss. Missyonarzy wydany poprawnie z muzyką i tekstem w Krakowie.— Tego samego rodzaju są bezimienne książeczki wydane dla choralnych spiewaków i cerkwi. Tu idą koleją kościelnego roku naprzód: 1. Pieśni adwentowe; — 2. Pieśni Bożego Narodzenia i starożytne kolendy ruskie; — 3. Pieśni wielkopostne, a między niemi Pieśni obchodów drogi krzyżowej i Pieśni o męce Pańskiej; — 4. Pieśni wielkanocne;— 5. Pieśni na zesłanie Ducha św. czyli Zielonych Świątek;— 6. Pieśni na Boże Ciało;— 7. Pieśni o Najśw. Maryi Pannie; — 8. Pieśni o Świętych Pańskich i patronach ziemi; — 9. Pieśni przygodne; — 10. Pieśni za umarłych; — 11. Pieśni cerkiewne tj. tłumaczone z pieśni ruskich na język polski, spiewanych po kościołach parafii lub dyecezyi mieszanych obrządków, gdzie znowu idą podziały: a) Pieśni na uroczystość tajemnic Pańskich; b) Pieśni o Najśw. Pannie; c) o Świętych Pańskich; d) Przygodne i w końcu znowu za umarłych.

Następnie mówić tu przychodzi o Mszach i Nieszporach; więc o Mszach dorocznych naprzód, dalej o Mszach o Najśw. Pannie, o ŚŚ. Pańskich, o Mszach przygodnych i o Mszach żałobnych w obudwu obrządkach.

Nabożeństwa nieszporne mają znowu poddziały muzyczne na Psalmy, Hymny, Magnifikaty i Antyfony. — Dalej idą Supplikacye i Litanie, tudzież muzyki Koronek, Różańców i Godzinek.

Byłoby tedy co publikować, gdy do samej Najśw. Panny mamy sto pieśni przez lud spiewanych po kościołach i cerkwiach, czem się podobno żaden naród nie poszczyci. Z tych jest sześćdziesiąt powszechnych a czterdzieści miej-

---

podług tego ostatniego sprawdzić. Rezultatem tej pracy jest dzisiejsze: „Irmologion“ (vulgo Jarmołoj), księga, w której zamieszczone są nóty, wedle których spiew cerkiewny sprawować się ma.

Spiew cerkiewny w najściślejszym związku zostaje z obrzędem cerkiewnym; — i tak jak obrzęd jest rozmaitym i obfitym w swoich częściach, zmianach i ich składzie, tak też i temu obrzędowi jest odpowiedni spiew.— Nabożeństwo obrzędowe ruskie podzieliłbym na „trzy główne części“: na Jutrznię, Liturgię czyli Mszę św. i na Wecernię czyli Nieszpor — (dodatkową częścią Jutrzni bywa w dnie uroczyste „Wsenoszczne“). — Skład nabożeństwa tych trzech części zostaje zawsze ten sam, części jego pewne jednak podpadają zmianom, tak iż każdy dzień, każde święto i pewne doby duchowne (np. wielki post) mają swoje właściwe nabożeństwo. Co się więc tyczy stałego spiewu, nigdy nie odmieniającego się, ten nie jest w nóty ujęty np. Spiew księdza w liturgii Jana Złotoustego; — odmienne tylko części spiewu są w nóty ujęte. Irmologion przeto zawiera w sobie wzory tylko, podług których pewne pieśni spiewane być mają, tak że ustawna książka obrzędowa za każdą razą do Irmologionu odsyła. — Ciekawem zjawiskiem jest to, że spiew w Irmologionie na 8 głosów, czyli wzorów jest rozłożony. Każdy tydzień (od niedzieli począwszy) ma swój główny głos, czyli wzór, podług którego przypadające pieśni spiewać się mają. Prócz głównego głosu może przychodzić także i inny głos, jeżeli nabożeństwo jest skombinowane.

Pieśni, zmieniające się stósownie do każdego nabożeństwa zawarte są w tak zwanym Oktoichu czyli Ośmiohłasnyku. Ten dzieli się na 8 pieśni; każda pieśń ma swój samohłas; potem 8 dogmatów (które się dzielą na a) hospodzkie, b) bohorodyczne); 8 sidałnych 8 prokimenów; 8 irmosów, a te dzielą się znowu na pieśni; — do irmosów są znowu 8 podobnych, — te znowu rozdzielają się na pieśni; potem 8 bołharskich.— Każda z tych rodzajów pieśń ma swoją własną nótę.

Prócz spiewu w Irmologionie w nóty ujętym, jest także spiew tradycyonalny; np. stałe części nabożeństwa, czy to w wyż wymienionych głównych częściach nabożeństwa, czy to przy udzielaniu śś. Sakramentów lub innych obrzędów, jakoto obrzęd pogrzebowy, święcenie domu itd. itd. — I w tych obrzędach przychodzą pieśni np. tropazy, które się na pewne głosy Irmologiona spiewają. Oprócz pieśni ściśle obrzędowych cerkiewnych, są także pieśni w ustach djaków żyjące, przechodzące z pokolenia na pokolenie, przy pewnych okazyach, np. przy stypach („rycar' i smert'“);— podobnego rodzaju są także kolendy, haiłki itp. pieśni obrzędowe i doroczne.

Co się tyczy liturgii w obrz. gr. kat. trzy są msze św. Jana Złotoustego, Bazylego Wielkiego i Grzegorza Teologa.— Msza Jana Złotoustego czyta i spiewa się przez cały przeciąg roku i w dnie powszednie i w dnie świąteczne, z wyjątkiem nowego roku i pierwszych pięciu niedziel Wielkiego Postu, kiedy odprawia się msza św. Bazylego, a pierwszych 6 piątków W. Postu, kiedy się odprawia msza św. Grzegorza Teologa, tak zwana „Preżdeoświaszczenna.“

Nabożeństwo pierwsze i drugie wyżej wymienionej mszy o tyle tylko od siebie się różni, o ile we mszy św. Bazylego dłuższe przychodzą modlitwy tej samej prawie treści; — msza zaś św. Grzegorza jest zupełnie odmienną; ta dlatego nazywa się preżdeoświaszczenną, ponieważ dniem przedtem konsekrowana hostya używa się przy tej mszy; a więc konsekracyi przy tej mszy nie ma.— Spiew także jest po większej części odmienny; — najładniejsze pieśni (w nóty ułożone w Irmologionie) są: „Da isprawyt sia mołytwa moja“ itd. — i „Nyni syły nebesnyja“ itd. Szkoda tylko, że tak rzadko te przecudne melodye dokładnie wykonywanemi bywają.

Żałobne nabożeństwo składa się z mszy św. Jana Złotoustego i tak zwanego Parastasu. Parastas ma dla siebie odpowiedne pieśni i osobny spiew. Kto słyszał parastas odspiewany poprawnie, oceni zapewne piękności tej wielkiej kompozycyi, przenoszącej nas w czasy pierwotnego kościoła.

Trudno także zapoznać piękności poetycznych i melodyjnych pieśni „bołgarskich“, spiewanych przy prowadzeniu ciała do cerkwi: „Kaja żyetejskaja sładost' prebywajet po smerty“ (Jaka słodycz ziemska zostanie po śmierci) itd. itd. — i nikt bez płaczu nie ostanie się słysząc w cerkwi spiew: „pryjdite, poślidnoje ciłowanije“ itd. (przychodźcie i oddajcie ostatni pocałunek itd.), przy tem ksiądz stoi za trumną, — na trumnie święty krzyż; gdy te pieśni djacy na przemian z księdzem spiewają, wszyscy przytomni obchodzą trumnę i całują krzyż na trumnie leżący, jakoby się ostatni raz z umarłym żegnali i jemu ostatnie pocałowanie oddawali.

Ustaw, czyli rytualne pieśni i modlitwy są zawarte w „Minei“ składającej się z 12 wielkich ksiąg. Na W. Post osobne nabożeństwo spisane w Triadzie postnej, a na Kwietnią niedzielę w Triadzie ćwitnej. Uwagi godnem jest i to, że od Wielkiej nocy do Wniebowstąpienia odprawia się na Jutrzni i na Parastasie odmienny kanon, niżeli w czas inny. I w tym kanonie znajdują się bardzo piękne pieśni w nótach cerkiewnych spisane.

Co się tyczy pieśni nabożnych nienależących do rytuału i przy różnych okolicznościach spiewanych, czasami nawet w cerkwi: takowe są zawarte w osobnej książce wydrukowanej w Instytucie Stauropigialnym, którego pomocy wezwać przyjdzie Towarzystwu do publikacyi nót, spiewów choralnych, jako mającemu i wszelkie techniczne przyrządy ku temu i potrzebną znajomość przedmiotu.— Tu dajemy tylko tych kilka objaśnień celem poruszenia tego przedmiotu.

scowych, przywiązanych do obrazów łaskami słynących i miejsc odpustowych.

Byłoby tedy co publikować i jest z czego, zwłaszcza że potrzebę tego czujemy coraz bardziej, albowiem dzisiejsze kodeksa i spiewniki nawet już w nowszych czasach wydane wyszły już po części z księgarskiego handlu, albo są tak drogie dla nielicznych wydań, iż je można uważać za niebyłe; powstaje tedy potrzeba nowych publikacyi, potrzeba sprowadzenia tego wszystkiego materyału niejako do jednego formatu i krytycznego wydania w egzemplarzach licznych a tanich drukach, aby ta wielka puścizna cerkwi i kościoła mogła się stać nabytkiem każdej chociażby najuboższej gminy. Towarzystwo wydoskonaleniu muzyki poświęcone, znajdzie wówczas tylko rozgłos i poparcie w usiłowaniach swoich, jeżeli się przysłuży krajowi publikacyą nót cerkiewnych i kościelnych. — Jeden rzut oka na statystykę *) kraju dowodzi, że gdyby Towarzystwo w publikacyach swoich tylko na jedną czwartą a nawet na jedną szóstą część parafii i kościołów liczyć mogło, to nawet wówczas utrzyma się wydawnictwo tego rodzaju, cóż dopiero, kiedy możemy liczyć na wszystkie parafie i gminy, będące w podobnem położeniu także poza granicami prowincyi naszej, bo kiedy u nas, gdzie religia katolicka jest panującą i większość ludności wyznawa się do katolickiego kościoła, muzyka religijna pochyliła się tak bardzo do upadku, jakże dopiero smutnym musi być stan jej tam, gdzie religia katolicka jest supremowaną i gdzie świeżo kilka milionów oderwano od unii kościoła!

Nie ma tedy żadnej wątpliwości, że tego rodzaju przedsięwzięcie publikacyi nót cerkiewnych i kościelnych, poparte powagą biskupów, utrzyma się i przyniesie nawet Towarzystwu muzycznemu tego rodzaju korzyści, iż prowadzone z energią postawi je w możności założenia na wielką skalę szkoły choralnych spiewaków dla cerkwi i organistów dla kościoła; — bo mam to przekonanie, iż każde przedsięwzięcie zbiorowemi siłami w czasie dzisiejszym trafnie podjęte, a zamierzające korzyści powszechne, religijne i narodowe, odniesie niezawodny skutek, byle Towarzystwo odezwało się do szerszego koła i ze stolicy wystąpiło, i pojęło potrzeby wiernych gmin i parochów gorliwych.

Najlepszą wskazówką niech tu dla nas będą usiłowania Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych krakowskiego. Małe wkładki, które od członków swoich corocznie ściąga, premia, które corocznie swym członkom rozdaje bezpłatnie, równające się rocznym wkładkom, a niekiedy przenoszące je nawet wartością; obrazy znacznej nawet wartości, które corocznie wylosowuje i wystawy obrazów urządzane corocznie na dochód Towarzystwa: postawiły je na tym stopniu, że znalazłszy przez agencye swoje wszędzie dla siebie udział, dysponuje dziś rocznie funduszami 15000 złr. w. a. krom rezerwowego fuuduszu przeznaczonego na pomnikowe dzieła, który się z każdym rokiem powiększa.

Za cóżby tedy nasze Towarzystwo muzyczne, zamierzające odpowiedzieć wyższym bo religi nym potrzebom kraju, nie miało dla siebie znaleźć udziału, gdyby przez pnblikacyę nót cerkiewnych i kościelnych, przez ogłoszenie corocznych premiów i powiększenie liczby swych członków na prowincyi, rozszerzyło pole działalności swojej? Nie możemy tu pominąć jeszcze jednego względu: Injuria temporis XVIII wieku pozbawiła kościół funduszów, z których były niegdyś utrzymywane szkoły organistów i choralnych spiewaków. Dziś, kiedy pojedyńcze dyecezye i zakony są za ubogie, aby muzyków i spiewaków kształciły, kiedy koncert i opera nadgradzająca talenta, garnie pod swój sztandar muzyczne talenta, które dawniej kościołowi służyły: — dziś, mówię, tym większa jest potrzeba tego, aby przenieść na inne pole usilności, sprawą muzyki kościelnej i zbiorowemi siłami poprzeć to, czemu nie wolno jest dozwolić upaść przy postępie wieku i niczem niezachwianych religijnych przekonań.

Przez publikacyą nót cerkiewnych i kościelnych, przez ukształcenie organistów i spiewaków choralnych, wprzęgłoby Towarzystwo bardzo wiele sił nowych w zakres czynności swoich, i otworzyłoby wielu talentom i młodym ludziom marniejącym dziś bez utrzymania, pole nowej zasługi.

Jeżeli emancypacya ludu nie ma zostać tylko martwem prawem, potrzeba się naprawdę zająć przedewszystkiem religijnem ukształceniem jego, i uznać naprzód wielki humanitarny wpływ muzyki kościelnej na całe rzesze ludu.

Na tem kończę, powtarzając raz jeszcze mój wniosek:

1. Aby się Towarzystwo zajęło zorganizowaniem osobnej sekcyi w gronie członków swoich, któraby jedynie była oddaną udoskonaleniu i rozszerzeniu muzyki religijnej, rytualnej dla obudwu obrządków, tj. tak dla greckiego obrządku pod względem spiewów choralnych, jakoteż kościelnych spiewów z akompaniamentem organów dla obrządku łacińskiego.

2. Aby w skutek tej organizacyi zajęło się Towarzystwo:

a) publikacyą nót kościelnych i cerkiewnych;

b) urządzeniem szkoły dla organistów i spiewaków choralnych.

Z Lubienia, dnia 15 czerwca 1860.

PISMA CZASOWE POLSKIE.

Nadmieniliśmy niedawno w naszych sprawozdaniach o piśmiennictwie naszem czasowem, że przeważają w niem sprawy przemysłowo-rolnicze i literacko-naukowe nad politycznemi. Pomówiwszy o treści przemysłowo-rolniczej pism polskich w drugiej połowie Czerwca wypada nam teraz pomówić o ich części literackiej. Najcelniejszą w tym zawodzie reprezentantką piśmiennictwa czasowego jest Biblioteka Warszawska, której zeszyt za Czerwiec mamy właśnie przed sobą.

*) W czterech dyecezyach obrz. łać. kraju naszego znajduje się 1128 parafii razem z kapelaniami i ekspozyturami, a mianowicie we lwowskiej 277, przemyskiej 284, tarnowskiej 311, krakowskiej 256; — kościołów i kaplic znajduje się w dyecezyi lwowskiej 241, w przemyskie 285, tarnowskiej 484, krakowskiej 278,—razem 1283. Dwie dyecezye obrządku greckiego liczą 3142 parafii, z tych lwowska 2463, przemyska 679; — kościołów zaś i kaplic gr. kat. obrz. jets we lwowskiej dyecezyi 1940, w przemyskiej 1269— razem 3209.

Sprawy gospodarstwa narodowego tyczące się, znalazły nawet i w tem piśmie miejsce, pomimo tego że istnieją i pisma wyłącznie takim sprawom poświęcone i po innych pismach kolumny im poświęcone. W czerwcowym zeszycie Biblioteki Warszawskiej znajdujemy p. Mathiasa Rosena: Kilka słów o lichwie i kredycie w kraju naszym. P. Mathias Rosen jest, jak się z przypisku redakcyi dowiadujemy, bankierem, który spowodowany powszechnem utyskiwaniem właścicieli ziemskich na brak pieniędzy, na lichwę i na upadek kredytu, podniósł bardzo pożądany w tej sprawie głos człowieka zawodu i praktyki. Wyjaśnia pan Rosen według zasad nauki i praktyki różnicę między lichwą właściwą t. j. „pożyczką połączoną z podejściem, oszustwem i innemi prawem kryminalnem karanemi działaniami na szkodę pożyczającego“, a niewłaściwie lichwą zwaną „ruchomością stopy procentowej, która jest ceną pieniędzy, podobnie jak ma ruchomą cenę swoją zboże lub inny towar“. Z rozprawy p. Rosena wynika ten i dla nas nieobojętny wniosek, że: „mylnem jest mniemanie jakoby wysoka stopa procentowa i brak kredytu (brakiem pieniędzy zwany) w kraju naszym wywiązywały się z rzeczywistej niedostateczności kapitału — ale rzeczywistą przyczyną braku kredytu jest: niedotrzymywanie terminów w wypłatach. — Drugą w ten zakres wpadającą rozprawą jest kilka uwag nad prawem Towarzystwa kredytowego ziemskiego, o pożyczkach podwyższonych.

Oddział historyi jest w tym zeszycie licznie zastąpiony. Króciuchna rozprawka p. J. T. L. pod napisem: Jakób z Kobylan jest ważniejszą z powodu spostrzeżeń autora nad tak zwanemi „*extempora*“ czyli notatach czynionych po dawnych sądowych książkach na marginesach, okładkach i na niezapisanych kartach, czyli tak zw. *vacuum*. Pan J. T. L. stwierdza zdanie poznańskiego professora Przyborowskiego, że takowe notaty mają niemałą wartość pod względem obyczajowym. Tak w XV wieku zapisywał na tych marginesach itd. wypoczywający po trudach obowiązkowych umysł hymny, modlitwy, pobożne myśli białym łacińskim wierszem. Było też próżnowanie wtedy wznioślejsze od samej pracy. W XVI wieku już „urywki owe przybierają ducha świeckiego — praktyczne zapatrywanie się na świat, środki dostąpienia zamożności sławy i t. d.“ Niesłusznie wytyka p. J. T. L. Kochanowskiemu że ten kierunek nowy gromił, bo w oczach prawdziwego poety jest zwrócenie się ducha od wznioślejszych ku poziomym codziennym rzeczom, zawsze cechą upadku. — Jakoż okazuje się że duch ten swobodnie w tych czasach występujący upadał coraz bardziej. W XVII już zastępuje rubaszność miejsce nadobniejszych wzorów. W XVIII wieku „brak uczuć religijnych i głębszych przekonań łatwo daje się odgadnąć z nabożnych ale cierpkich, górnych ale czczych frazesów...“ Po tych ciekawych spostrzeżeniach podaje p. J. T. L. wiadomości o Jakóbie z Kobylan kasztelanie Gnieźnieńskim, staroście brzeskim r. 1407 — 1454, którego rycerskie spotykanie się i zwycięztwo w turnieju z jakimś Anglikiem, w przytomności króla i całego dworu, znajduje się w aktach grodzkich miasta Brześcia. Tegoż samego p. J. T. L. zamieszczone jest między „Rozmaitościami“ tłumaczenie wyroku na Dorotę, małżonkę Jakóba kasztelana Czechowskiego, za to że małżonka swego zabiła, wypisanego z akt. ziems. Grod. Warszaw. r. 1466 — 77. — Powód do tego dała p. J. T. L. rozprawa Z. Kaczkowskiego pod t. Kobieta.

Rozprawy tej, czyli studyum historyczno-obyczajowego znajdujemy w czerwcowym zeszycie ustęp III. Wprowadzenie chrześciańskiej religii do Polski. Zastanawia się nad tem Z. Kaczkowski, jak w ogóle, w całym świecie, dopiero Chrześciaństwo naznaczyło kobiecie godne stanowisko w społeczeństwie, przytacza jednego z najświatlejszych Rzymian, Senekę, na dowód, że pogaństwo uwzględniało tylko zwierzęcą stronę w kobiecie a nie wyższe nad zwierzęce przyznawało jej stanowisko. Dopiero Chrześciaństwo podniosło ją do ludzkiej godności przez podniesienie małżeństwa do godności sakramentu, gdy przedtem nie bywało ono niczem jak tylko układem, umową (a nawet co do formy często prostem kupnem i przedażą).

Wskazawszy po krótce jak wiele wszystkie narody zawdzięczają kobietom pod względem zaszczepienia i rozszerzenia Chrześciaństwa, przedstawia nam wspaniały w tej mierze obraz Dąbrówki, żony Mieczysława.

Dokończenie historycznej rozprawy p. Karola Sosnowskiego pod napisem Jan Huniad wojewoda, podług dzieł nowszych i niektórych dawnych a znanych źródeł, przedstawia nam obraz smutnej a tak ważnej dla spólnych losów Polski i Węgier katastrofy pod Warną, gdzie poległ Władysław Warneńczyk z tyloma innymi bohaterami. Huniad przeżył króla i walczył jeszcze z wpływami obcej Węgrom dynastyi na losy tego, walczył z Turkami i magnatów intrygami, którym pycha nie dozwalała pamiętać o dobru ojczyzny. Nieszczęśliwa bitwa na Kosowem polu nie dozwoliła bohaterskiego dokończyć żywota; dopiero przy zwycięztwie pod Biełgradem dopełniła się miara wysileń i skończył jak żył: walecznie a Bogu oddany.

Ciekawą zawiera ten zeszyt rzecz (z Timesa wyjętą) pod rubryką: Literatura angielska o „Dugald Stewarcie filozofie szkockim“. Nietyle nas obchodzi literackie stanowisko tego filozofa, który na resztę Europy nie wielki wywarł wpływ, którego filozofia w obec naszej kontynentalnej filozofii spekulacyjnej wydać się może poziomą, i nie bywała przez nią nawet przypuszczaną do równej godności. „Zdaje się, pisze autor artykułu o Dugald Stewardzie, jakoby dla wszystkich angielskich myślicieli zadaniem wyłącznem filozofii było rozwiązywanie kwestyi, które podnoszą bieżące wypadki polityczne i socyalne“. Taki wyłącznie praktyczny kierunek filozofii wpłynął jednakże na świat naukowy, a bardziej jeszcze na polityczny w sposób bardzo ważny, jego bowiem owocem jest: ekonomia społeczna, a Stewarta uczniami i wychowankami są pierwsi mężowie stanu i literatury angielskiej i amerykańskiej. Lord Palmerston i jego brat, lordowie Ashburton i Powencourt, hrabiowie Warwick, Dudley i Selkirk wychowali się w jego domu. Lordowie Lansdown, Landerdale, Brougham, John Russel, Webb Seymour, Robert In-

glis, Walter Scott i Archibald Alison i t. d. byli jego uczniami.

Praktyczna filozofia, praktyczne też skutki. Trzeba oraz pamiętać że uniwersytety angielskie i szkockie (Dugald Stewart był profesorem uniwersyteckim) są to oraz szkoły życia parlamentarskiego i politycznego w ogóle. Wszystko się więc tam nagina ku tym realnym potrzebom narodowego życia, i nie mógłby Goethe powiedzieć o szkockich filozofach, co powiedział o swoich rodakach: *„ein Kerl der speculirt, ist wie ein Gaul auf dürrer Heide.“*

Odznacza się od niejakiego czasu Biblioteka Warszawska dobornemi tłumaczeniami dobornych dramatów obcych. Do takich należy tłumaczenie p. Kazimierza Kaszewskiego dramatu: Burgrafowie Wiktora Hugo, tego mistrza wielkich effektów scenicznych i wielkich słów. Donosiliśmy już o pierwszej części podanej w poprzednich zeszytach. W niniejszym ogłoszona jest druga i trzecia część. Zbyteczną jest, sądzimy, powtarzać treść tego dramatu, znanego może wielom z publiczności lepiej, niż nasze oryginalne arcydzieła dramatyczne. Przytoczymy tylko dla obznajomienia czytelników z tokiem przekładu monolog Żebraka na wstępie drugiej części.

Monolog ten zajmuje nas tem bardziej, że niektóre jego ustępy z pewnemi odmianami w nazwach miast, krajów i ludzi mogłyby się i do Polski stosować. Żebrak mówi:

A więc pora, by wszystko na kartę postawić;
Poświęceniem wszystkiego wszystko można zbawić,
Byle Bóg mi dopomógł!... O kraju kochany!
Jak twe syny ohydni, jak krwawe twe rany!
Wygnaniec, jakimże cię zastaję w tej chwili!
Wygnali Władysława, Filipa zabili,
A Henryka otruli. Do tego spokojnie
Sprzedali tego chrześcian Achilla, Lwie serce!
A więc wszystko w upadku, wszystko w poniewierce;
Nie ma zgody, prysnęły wszystkie państwa spojnie.
W tym kraju niegdyś mężnych przybytku i sławy,
Są Flamandy, Saksony, Franki i Morawy,
Lotaryngi, Bawary, tylko Niemca nie ma,
Każdy swe powołanie wypełnia jako mniema;
Mnichy spiewają, każą i kadzidłem dymią,
Paź za swym panem nosi znamiona potęgi,
Baronowie rabują, a królowie drzymią.
Ci co nie łupią drugich, to znów niedołęgi,
Jak za władzców salickich drżąc... o co nie wiedzieć,
Umieją tylko stękać, i w kościele siedzieć!
Zostali źli lub podli, drapieżność lub błoto.
Palatyn, jako krajczy, miał przecież na sejmie
Pierwszy głos po Trewirze; — przedał go za złoto;
Będzież miał z niemi rozkosz, kto dziś rząd obejmie.
Król Czechów, nędzny sklawon, elektorem został:
Każdy, aby w możności sąsiadowi sprostał,
Rozciąga prawo pięści, zgrozę i ohydę.
Lemiesz rzucon pod nogi, przetwarza się w dzidę;
Kosy stają do boju, porzuciwszy żniwo.
Cygan w chacie wieśniaka ma na zawołanie
W uściech dziką piosenkę, w kieszeni krzesiwo.
Wandale wzięli Berlin, Gdańsk mają poganie,
We Wrocławiu Mongoły, o hańbo, o wstydzie!
To trzeba duszy nie mieć by żyć w tej ohydzie.
Pieniądz znikł. Więc i grody nędzne, zubożałe;
Któż dziś skończy w Strasburgu te wieżową strzałę,
Kiedy chorągiew miejską przedajnie wręczyli
Żydom, co się w domowych wojnach spanoszyli?
Upadek!... miały Niemcy ogromne przestrzenie:
Z Holandyi, Luxenburga, zostały nam cienie.
A gdzie Gieldrya, Lombardya i inne gromady.
I Polska się wyzuła obowiązków wszelkich...
By odeprzeć stanowczo silnych wojsk napady,
Ulm i Augsburg za słabe mają palisady;
Giną dzieła Karolów i Ottonów wielkich.
Tymczasem Duńczyk grozi, Anglia rozsadza
Gwelfów i Gibellinów, a Lotaryng zdradza;
W Turynie tleje ogień i Brabant nie drzymie,
Filip August jest silny; Genua grzywien żąda,
Interdykt wisi ciągle, Ojciec święty w Rzymie
Wakująco i dumnie na Niemcy spogląda.
I przy takiem nieszczęściu, które kraj spotyka,
W obec tylu zawichrzeń, nie ma przewodnika!
Elektory w rozprzęgu, z krzywd państwa bogaci,
Temu wręczają berło, kto im lepiej płaci;
I tak męczennik zbity pokrwawiony,
Umiera czterma końmi darty w cztery strony:
Tak biedne cesarstwo w opłakanej dobie
Czterej władzcy nieprawi drą każdy ku sobie.
O Niemcy! Niemcy! Niemcy!... nieszczęsne trzykrotnie!

Cóżto za żebrak co się wznosi do takiego tonu cezarowego? Jużci nie kto inny, tylko sam cesarz, Fryderyk Rudobrody, który przybywszy w postaci żebraka odkrywa się Burggrafom:

Ja, Frydrych, ziemi szwabskiej władzca urodzony,
Wybrany królem Rzymian, cesarz uwieńczony,
Miecznik Boży, Burgundyi król i Arelatu,
Żem znieważył grób, w którym spoczął Karol Wielki,
Za to zrzekłszy się tronu, blasków majestatu,
Gorzki-m kielich pokuty spełnił do kropelki.
Lat dwadzieścia w pustelni niewidzialny światu,
Żyłem ze skał ziołami, wodą ze strumienia,
Jak mara, której pasterz lękał się zbliżenia.
Świat mię liczył oddawna między umarłemi;
Ale ja, słysząc kraju bolesne wołanie,
Rzuciłem dobrowolne grobowe wygnanie
I rzekłem: czas, bym głowę wychylił z pod ziemi.

I wyszedł — by zakończyć dramat Wiktorowi Hugo.

Rocznice historyczne.

15 lipca 1410 r. Zwycięztwo pod Grunwaldem.

Upływały już mnogie lata najzaciętszych bojów między Słowiańством a giermańskimi rycerzami, gdy nadeszła chwila ostatecznego rozstrzygnięcia. Przypadła ona właśnie na czas panowania Jagiełły. Coraz silniejszy wzrost Polski wspomożonej teraz braterstwem z ościenną Litwą, zastraszał Krzyżaków zniszczeniem ich planów, i pobudzał do gwałtownego zamachu na przytłumienie wszelakiego rozwoju. Również i Polska, stanąwszy na wzniośliejszem stanowisku pewnej przewagi na północy, ujrzała się powołaną do obrony ludów od miecza i despotyzmu giermańskiego. Taki stosunek pociągał za sobą nieuchronną stanowczą rozprawę, — i stała się nią bitwa Grunwaldzka.

Nie wchodząc w bliższe powody tej walki, przystępujemy do opisu samej bitwy. Nie pozostaje nam jednak jak tylko pójść za sławnem i znanem opowiadaniem dziejów Jagiełły i Jadwigi.

Około południa 15 lipca stanęły wojska polskie w pobliżu Grunwaldu i Tannenberga. W półmilowej odległości zajęła część wojska stanowisko u brzegu lasu, podczas gdy nierównie większa liczba zostawała pod zasłoną lasów i gajów. Przed niemi rozścielały się łąki i niwy, a naprzeciw

obrali sobie Krzyżacy stanowisko na rozłożystej wyżynie. Widząc się w jak najkorzystniejszem położeniu bojowem, wyrobili sobie przekonanie o niekorzyści Polaków, zamkniętych w nizinie, zagrodzonych w tyle lasem a po obu bokach jeziorami Dąbrowskiem i Lubeńskiem. Jednakowoż pozycya ta mieściła dla Polaków wielkie korzyści. Najpierw nie dozwolił im brak miejsca rozwinąć wszystkie swe siły na widoku, co w niemały błąd wprowadziło nieprzyjaciół. Mniemali oni, że nieliczne, w obliczu ich stojące hufce całą siłę polską stanowią, nie domyślając się wcale zakrytych lasami wojsk. Prócz tego stanowisko Polaków, niedostępne dla nieprzyjaciół, zabezpieczało ich od wszelkiej niespodziewanej napaści. Owo widziane przez Krzyżaków czoło wojsk polskich, zajmowali głównie Litwini i posiłkujący Tatarzy. Było to prawe skrzydło Polaków. Nierównie liczniejsza część wojska ukryta w lesie stanowiła prawe skrzydło głównie z Polaków złożone. Cała zaś prawdopodobnie do 100.000 ludzi wynosząca ilość wojsk polskich w następującej stała sprawie.

Lewe skrzydło Polaków nachylone ku Grunwaldowi składały 50 chorągwi. A najpierw powiewał biały orzeł w koronie, sztandar ziemi krakowskiej, który prowadził główny dowódzca lewego skrzydła Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski. Wnet za nim stali najsławniejsi rycerze jako Zawisza Czarny i Floryan Jelitczyk, więc Domarad z Kobylan Grzymalita, Skarbek z Gór Habdank i inni. Następujący rząd zajmowały chorągwie nadworne, dalej rycerstwo zagraniczne w ochotnej służbie Rzeczypospolitej pod wizerunkiem św. Jerzego, 16 chorągwi pospolitego ruszenia, parę duchownych, kilkanaście panów magnatów koronnych, uzupełniały szyk lewego skrzydła. Tuż po nich następowało 40 chorągwi litewskich składających prawe skrzydło, 40 sztandarów o litewskiej pogoni a w różnych polach powiewało nad niemi. A z tych 18 pospolitego uzbrojenia bojarstwa, reszta hufce książąt hołdowniczych i posiłki tatarskie. Nieznaczna ilość artyleryi, wcale niedorównywająca krzyżackiej, uzupełniała szyk bojowy wojsk polskich. Więc starodawnym zwyczajem szykowało się po kilka chorągwi w kliny. U przodu, węższego końca, stały poczty dobranego rycerstwa, również i u ścian pobocznych; środek składały pośledniejsze hufce. Całe wojsko stanęło w trzech niezmiernie rozciągłych hufcach, które środkiem formowały wspaniałe ulice. A te przebiegał główny szykownik bitwy, brat królewski Witold. Podczas gdy pobożny król Jagiełło przed ołtarzem ustawionym pod rozpiętym namiotem w bogobojnych utonął modłach, rozbudzał Witold w licznych hufcach swych bohaterskiego ducha z żądzą pomsty na nienawistnych Giermanach.

Niemniej żądni bitwy stali naprzeciw Krzyżacy. Było ich 83 tysiące, a wszystko męże żelaźni i ogromne miecze tylekroć pojone krwią polską. Około głównego dowódzcy, wielkiego mistrza Ulryka Jungingena, skupiło się mnogie znakomite rycerstwo. Między niem był i młody książę śląski na Oleśnicy Konrad i książę szczeciński Kazimierz, wreszcie mnóstwo rycerstwa różnych szczepów giermańskich. Przewlekała się jednak chwila boju. Unużeni spiekotą Krzyżacy a pewni niejako zwycięztwa, wysłali po naradzie znak wyzwania, dwa nagie miecze Jagielle i Witoldowi. Rycerskiemu wezwaniu odpowiedział godnie król polski dając hasło boju.

Wnet więc przyodział Jagiełło świecącą zbroię, i na wybranym cisawym rumaku rozpoczął czynności wodza. Po wydaniu ostatnich rozkazów usunął się król ze strażą na uboczu przy lewem skrzydle polskiem. Około trzeciej godziny z południa zabrzmiał hymn Bogarodzicy i prawe skrzydło litewskie ruszyło w bój.

Na tę część wojska polskiego uderzyli Niemcy najpierw z mnogich dział, a wnet całą potęgą swoją, pozostawiając zaledwie kilkanaście hufców w odwodzie. Wszczął się srogi bój. Skruszono kopie i miecze szczęknęły o miecze, a po dłuższem wysileniu, po mężnym oporze zostało skrzydło litewskie przełamane. I powstał wielki popłoch. Pierzchnęli Litwini, zawzięcie ścigani przez Krzyżaków, a niektórzy z nich przepełnieni trwogą pędzili przez dni kilkanaście aż do Litwy, rozsiewając smutną wieść o klęsce. Pierzchnęli i Tatarzy, lecz zwykłym trybem swym wrócili wnet na plac boju. Pierwsza ta pomyślność opoiła dumą i zarozumieniem Krzyżaków, mniemających swojem całe zwycięztwo. W tem weszły na plac boju ukryte potąd w lesie zastępy polskie. Nad walecznem rycerstwem powiewała wielka chorągiew państwa z białym orłem w koronie. Przy pierwszem gwałtownem zwarciu się upadła wielka chorągiew. Powstał zacięty bój, a po niejakim czasie wypłynął znowu biały orzeł nad wojskiem polskiem. Z niemniejszą jednak zawziętością trwała dalej walka. Nadbiegały wracające z pogoni hufce krzyżackie, a uciśnionym Polakom zagroziło wnet nowe jeszcze niebezpieczeństwo. Pomienione odwodowe chorągwie krzyżackie wystąpiły także do boju. Z samym wielkim mistrzem Ulrykiem na czele zamierzyły one uderzyć z boku na wojsko polskie. A prawie w zamierzonej drodze stał król Jagiełło z nieliczną, bo ledwie 60 kopii rycerskich wynosząca strażą. W trwodze o los króla zwinięto proporzec królewski, któryby nieochybnie zawiadomił Krzyżaków o pobliżu jego osoby. Niebezpieczeństwo króla uszło uwagi pogrążonego w głównej walce rycerstwa; a sam Jagiełło widząc w niepewności sprawę wojska swego, dał się zaledwie najusilniejszemi prożbami powstrzymać od czynnego udziału w bitwie. Tymczasem zrównały się z królem pomocnicze hufce krzyżackie. Spiesząc w główny bój nie chciał się wielki mistrz wdawać w rozprawę z pojedyńczym oddziałem. Znalazł się jednak śród hufców jego śmiały rycerz, ochotnik imieniem Dyppold Kiekierzyc *von* Dieber, żądny rycerskiego popisu, i przybiegł do Jagiełły z wezwaniem na kopie. Złożyli się po rycersku, gdy wtem młody sekretarz królewski Zbiszek pchnął Niemca silnie w bok i powalił z konia. Wtedy ugodziła go kopia królewska w czoło a straż dobiła.

Mniej bacząc na stratę pojedyńczego rycerza pognał Ulryk z pomocą. Gwałtowny atak zmieszał Polaków w w największem teraz zostających niebezpieczeństwie. Wtedy wystąpił ostatni hufiec polski z lasu. Przybycie onego dodało serca Polakom, którzy z podwojonem męztwem rzucili się na wrogów. W chwili zawahania się wyskoczył z szeregów polskich rycerz zawołany Dobek z Oleśnicy, lecąc wprost na wielkiego mistrza. Złożył się z nim Ulryk, a goniąc go zbliżył się zbytnie ku polskim szeregom. Toż wpadli nań Polacy całą siłą. Nieustraszone ich męztwo zaczęło przełamywać żelaznych Giermanów, gdy się pojawiła część zbiegłej Litwy i Tatarów. Wszczął się srogi ostatni bój. Widocznie przemagali już Polacy, gdy w Krzyżaków nowy uderzył cios. Było nim odstępstwo własnych poddanych pruskich, uciemiężanych srodze przez niemieckich mieczowych apostołów krzyża, a którzy teraz ujrzeli nadeszłę chwilę pomsty. Okoliczność ta przechyliła stanowczo zwycięztwo na stronę naszą. Szerokiem kołem otoczyli Polacy pozostałych nieprzyjaciół, i sprawili wielką rzeź.

Z ogromnego wojska krzyżackiego uratowała się zaledwie garstka podlejszych rycerzy ucieczką. Wraz z wielkim mistrzem zasłało pole mnogie rycerstwo. Do 40.000 więźniów, 51 sztandarów, przywiedziono do nóg zwycięzkiego króla. A biały orzeł wzbił się wspaniale głosząc wieczysty upadek giermanizmu na polskiej ziemi. *B. K.*

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.